



15-letni Zenon Pyska i jego diabelskie skrzypce. Fot. L. Leo

O festiwalu kapel ludowych w Kazimierzu na str. 8

W Debreczynie też narzekają na stolicę

Ireneusz J. Kamiński

BARDZO wylewnie witaliśmy się z oczekującą nas na debreczyńskim dworcu panią Erzsike'ą Földudry, pracowniczką Miejskiego Wydziału Kultury i Oświaty, na ten pierwszy tydzień lipcowy opiekunką trzech malarzy lubelskich i dwóch osób im towarzyszących, także z Lublina, którzy przybyli do Debreczyna w celu dalszego umocnienia przyjaznych stosunków między obu miastami. Jeszcze przed artystami zwiększono tu zestaw obrazów dzieł malarzy lubelskich.

Pani Erzsike'a z miejsca sterroryzowała grupę, czyniąc to przecież z łaski kobiecym wdziękiem i selektywnie — nie wszystkich otoczyła swą słodką tyranią, co podaje z rozżalenia i zazdrości męskiej.

Niektóre stołce odsłoniło miasto czynne, zadbane, schludne. Przy głównej ulicy starej części miasta, ul. Armii Czerwonej, wypiętrzały się szlachetnymi fasadami secesyjne i eklektyczne domy, do najwyżej pięciopiętrowe. Tylko dwa szczyły reformackie, oddalone od siebie o kilkadziesiąt metrów, chwylały się spokojnymi profilami, z lekka zaledwie wzbudzone w otokach gzymśów, zgodnie z zasadami architektury osiemnastowiecznej; zwano niegdyś Debreczyn „Rzymem protestantów”.

Przed jednym z nich, okazałym i za mykającym perspektywę ulicy, stał romantyczny pomnik Kossutha. 6 stycznia 1849 roku ten bohater narodowy Węgier ogłosił Debreczyn stolicą kraju. Powtórną miasto uzyskało tę godność w grudniu 1944 roku. Dziś 150-tysięczny ośrodek przemysłowy i kulturalny jest trzecim pod względem wielkości miastem Węgierskiej Republiki Ludowej.

Pół godziny przed otwarciem wystawy jesteśmy na miejscu. Na drzwiach budynku, wtopionego w szpaler innych, podobnych kamienic, wiszą proste afisze z napisem „Lublin”. Sala ekspozycyjna to chyba foyer sąsiedniej salki widowiskowej, doraźnie przekształcone dla innego celu.

W ciemniejszej części sali wiszą lubelskie obrazy, nie wszystkie jednak, bo kilka nie zmieściło się na ścianach. Poza tym okazuje się, że obrazy nie są jedynymi dziełami sztuki, eksponowanymi w tym wesolym pomieszczeniu. Pod oknami, na zasłanych zgrzebną tkaniną stołach widnieją rzeźbione w drewnie diabły i inne figurki — to dorobek artystów ludowych z litewskiej Kłajpedy, które liczna i młoda delegacja wypełnia właśnie salę.

Dokończenie na str. 5

Lubuskie Lato Filmowe 1971

Uprzejmość autorytetów i pryncypialność intruzów

Edward Kutermankiewicz

PODOBNO doroczny przegląd polskich filmów fabularnych „Lubuskie Lato Filmowe 1971” staje się imprezą coraz poważniejszą. Piszę „podobno”, bo brak mi skali porównawczej, gdyż pierwszy raz miałem okazję bawić w Łagowie dopiero w roku bieżącym.

Na sąd taki jednak, wnioskując, składają się przede wszystkim ambulatoryjne zamierzenia i gorące życzenia organizatorów, których wysiłek wydaje się być niezupełnie adekwatny do osiągniętych wyników. Trudno jednak ich obarczać wyłączną za to odpowiedzialnością, na kształt bowiem tego typu imprezy składa się cała gama czynników. Ale na to, żeby Łagów mógł stać się polską „Pulą”, „Pecą” lub „Warną”, wydaje się nie ma co liczyć ze względów czysto obiektywnych.

W tej sytuacji godzi się, by punkt ciężkości imprezy spoczął nie na efektywnym festiwalowym ceremoniale i bogatej wystawie, co wymaga odpowiedniego zaplecza, lecz zgola gdzieś indziej, a mianowicie na bogactwie treści imprezy, i w tym kierunku zmierzają usiłowania.

Obok przeglądu filmów polskich, których premiery miały miejsce w okresie od czerwca 1970 do końca maja 1971 r., a który stanowił główny sens Lubuskiego Lata Filmowego, zaprogramowano w Łagowie szereg innych imprez. Najważniejszą z nich miało być dwudniowe seminarium Klubu Krytyki Filmowej, które — uciekając się do eufemizmów — określić można jako nie bardzo udane, a do którego będą jeszcze chciał wrócić. Odkryło się także rozszerzone posiedzenie plenarne Koordynacyjnej Rady Artystycznej Kin Studyjnych z interesującym, choć kontrowersyjnym referatem jej przewodniczącego, prof. dr. Bolesława Lewickiego. Miało się

odbyć także seminarium DKF-ów, ale się nie odbyło. Poza konkursem zorganizowano także przeglądy filmów telewizyjnych oraz pokaz polskich filmów przedpremierowych. Wśród pozostałych imprez towarzyszących, nie imponujących bynajmniej rozmachem, znalazł się m. in. kompromitujący ubogi klermasz książki filmowej.

Złośliwi twierdzą, że pogoda najtrafniej skomentowała dorobek polskiej kinematografii, nie szczędząc w Łagowie rześstych łez w postaci nieustannej niemal ulewy. Złośliwość to jednak wyrażna, albowiem mimo dość powszechnej opinii o niekorzystnym stanie polskiej kinematografii wydaje się, że można by odnotować niezbyt wprawdzie imponujące, choć dość wyraźne symptomy przełamania impasu. Z 27 filmów konkursowych 20 uznalibyśmy za bezspornie złe, a wśród nich „Prom”, „Prawdzie w oczy”, „Dziękuję”, „Pejzaż z bohaterem”, „Dancing w kwaterze Hitlera”. Taka sama mniej więcej liczba znalazłaby się w grupie filmów, w których zarówno podjęty temat jak też kształt artystyczny reprezentują ce najmniej przyzwoity poziom. Te proporcje, jakkolwiek dość pocieszające, same w sobie nie skłaniają jeszcze do optymistycznych refleksji, zważywszy zwłaszcza relatywny charakter przyjętego kryterium podziału. Bardziej skłania do jej wyrażenia zestaw czterech tytułów „przedpremierowych” oraz prezentowane filmy telewizyjne.

Z przedpremierowych obrazów fabularnych poza „Wezwaniem” Wojciecha Solarza, który potwierdził, niestety, wyrażone niejednokrotnie obawy o skłonność do eklektyzmu i brak własnej osobowości artystycznej, zasługując na wyrażoną w jednej z dyskusji opinię, że „mamy tu do czynienia z agresywną grafomanią” — trzy pozostałe to obrazy doj-



Daniel Ojrzyski w filmie „Kraj-obraz po bitwie”. Fot. CWF

rzale, choć zajmujące skrajnie różne pozycje na obszarze filmu.

„Życie rodzinne” Krzysztofa Zanussiego to film wspaniały. Zaprezentowana w „Strukturze kryształowej” formuła kina refleksji i półtonów, w jakich zawiera się konkretna rzeczywistość, doczekała się wspaniałego rozwinięcia. Bogactwu treści tego filmu musiał Zanussi nadać ekwiwalentny kształt wizualny. Być może „Życie rodzinne” zawiodło

Dokończenie na str. 3

SPÓŁDZIELCZE WYBOJE I GRUDY

Jerzy Dostalni

PRACOWNIK rady pewnej spółdzielni lubelskiej — pominięte bliższe dane, aby sympatycznemu zresztą człowiekowi nie robić przykroci — był bardzo zdziwiony, że ja się dziwię. Chodziło mi o zapoznanie się przez lekturę dokumentów z pracą tejże rady. Ponieważ przewodniczącą jej był na urlopie, pracownik upierał się, że w takim razie muszę uzyskać zgodę prezesa zarządu. Ja twierdziłem, że to nie zarząd i prezes są władzą rady, ale odwrotnie — zarząd i prezes podlegają radzie, a więc nie mają prawa wydawania ani tej radzie, ani jej pracownikowi żadnych poleceń czy zezwoleń. Po dłuższym namyśle i zaglądnięciu do statutu

pracownik ów teoretycznie zgodził się ze mną, ale w praktyce bez zgody prezesa nie obeszło się.

Oto pierwszy paradoks, na który natknąłem się już na samym wstępie. W miarę zagłębiania się w temat, paradoksów przybywało coraz więcej. Jak choćby ten, z zupełnie innej dziedziny: jeżeli spółdzielnia skórzana produkuje torebki damskie, to wartość tych torebek zalicza się do produkcji rynkowej. Jeżeli ta sama spółdzielnia robi chomąta dla koni — wartość tych chomąt rejestruje się w dziale „usługi dla ludności”, co i ładnie brzmi i w praktyce honorowane jest od lat dwóch znaczną częścią premii. Dobrze się naszym koniom powodzi, gorzej paniom. A swoją drogą ktoś zapominał, że kobiet noszących to-

rebki mamy w województwie przynajmniej dwa razy więcej niż koni, że torebki zmieniają się znacznie częściej niż chomąta i że wskutek tego rzuca się statystykę usług.

Z tymi usługami jest zresztą znacznie więcej kłopotu. W roku 1969 Centralny Związek Spółdzielni Pracy narzucił Wojewódzkiemu Związkowi Spółdzielni Pracy niemożliwy do wykonania plan usług. Nie pomogły żadne argumenty techniczne, ekonomiczne czy zaopatrzeniowe. Uliłowała się nad spółdzielcami władza terenowa czyli WRN i ustaliła plan na mniej więcej realnym poziomie, ale CZSP tego nie uznał. Co więcej — w cią-

Dokończenie na str. 6



Nixon w Pekinie

NIEJAKI (wig w „Życiu Warszawy” z 18-19 lipca) napisał na marginesie decyzji o wyjeździe Nixona do Chińskiej Republiki Ludowej: taki epilog można było bez trudu przepowiedzieć już w dniu 1 października 1949 roku, tzn. w chwili proklamacji ChRL. Nic podobnego. Ani (wig) ani żaden inny publicysta polski czy zagraniczny wtedy tego nie przewidywał. Nawet w przeddzień ogłoszenia tej decyzji równocześnie w USA i ChRL mało kto.

Ostatni akt etapu przygotowawczego do ogłoszenia tej decyzji był swego rodzaju majstersztykiem tajnej dyplomacji. Tak dalece, że nawet najbardziej wścibscy dziennikarze zachodni nie o tym nie wiedzieli, chociaż postępowali krok w krok za wystanym na Daleki Wschód Kissingerem, doradcą Nixona do spraw bezpieczeństwa narodowego.

Kissinger 9 i 10 lipca oficjalnie przebywał w Pakistanie. Jeszcze rano 9 lipca widziano go w Rawalpindi, stolicy tego kraju, jak ze skrzyżowaną z bólu twarzą wyjeżdżał do pobliskiej miejscowości kuracyjnej, aby wyleczyć się z dolegliwości żołądkowych — na które cierpił od dawna, a które rzekomo odebrały się szczególnie ostro po kontakcie z kuchnią pakistańską. Gdy już „był” w tej miejscowości kuracyjnej, rozpuszczono pogłoskę, spreparowaną przez otoczenie samego Kissingera, najpierw, że dolegliwości się przedłużają, więc pozostanie tam o dzień dłużej, a potem drugą pogłoskę, że mimo wszystko spotyka się z przywódcami wschodnio-pakistańskiej Ligi Awami.

Nie wiadomo jakich jeszcze użyto podstępów, aby zamydlić oczy postronnym osobom. Dość, że w tymże Rawalpindi Kissinger wsiadł do amerykańskiego odrzutowca i poleciał — ale nie do miejscowości kuracyjnej lecz do Pekinu, gdzie zapewne spotkał się z premierem Czou En-lajem, jeżeli nie z samym Mao.

Nie trzeba chyba przypominać, że Stany Zjednoczone od pierwszych chwil powstania ChRL zajęły wobec niej najbardziej wrogię stanowisko, zarówno na płaszczyźnie politycznej jak i gospodarczej. Doszło nawet do pośredniej konfrontacji zbrojnej na ziemi koreańskiej, osłony wojskowej Tajwanu, lotów samolotów szpiegowskich nad terytorium chińskim, zbrojnej interwencji amerykańskiej najpierw w Wietnamie, potem w Laosie i Kambodży — tuż przy granicach Chin.

Nixon, który cierpił od swego rodzaju fobii, chce bowiem być nazywanym prezydentem pokoju, od pierwszych chwil po dojściu do władzy przygotowywał grunt do polepszenia wzajemnych stosunków. I to mimo stałego rozszerzania frontu działań zbrojnych w Indochinach. Już na początku 1969 roku sekretarz stanu Rogers oświadczył w Senacie, że nowy rząd będzie się starał nawiązać bardziej konstruktywne stosunki z Pekinem. W tym samym roku w USA wprowadzono pewne ułatwienia w handlu dwustronnym, jak również w wyjazdach Amerykanów do Chin Ludowych.

W następnym roku doszło do wznowienia kontaktów przez ambasadorów w Warszawie, przerwanych jednak po interwencji w Kambodży. Nastąpiła także dalsza liberalizacja handlu. Ukazują się wreszcie półoficjalne głosy, że USA zmieniają swoje dotychczasowe stanowisko w sprawie przyjęcia ChRL do ONZ, na czym Chinom tak bardzo od wielu lat zależy.

Pod koniec lutego br. Nixon w tzw. orędziu o stanie świata po raz pierwszy użył sformułowania „Chińska Republika Ludowa”, a nie — jak zwykle dotychczas — „Chiny komunistyczne”. I dopiero wtedy ukazują się pierwsze spekulacje — a jeszcze nie pogłoski — o możliwości podróży prezydenta do Pekinu. Trzy tygodnie później zniszczone zostają wszystkie restrykcje, obowiązujące dotychczas Amerykanów przy wyjazdach do Chin. Obowiązują też także pierwsze obywatela USA, ale przecież wiadomo, że właśnie dlatego, iż jest pierwszy, nie może pojechać jako zwykły turysta.

W pierwszej dekadzie kwietnia głośna była wizyta amerykańskich parlamentarzystów w Chinach, ukoronowana audycją u premiera, a potem nastąpiło — po 21 latach — częściowe zniesienie embarga na handel z Chinami. Wreszcie 16 kwietnia Nixon powołał na konferencję prasową: *gotowi jesteśmy pójść dalej, lecz następny krok powinni uczynić Chińczycy*.

Jaki krok od tego czasu uczynili Chińczycy — dotychczas nie wiadomo. Wiadomo jednak, że już po tym oświadczeniu prezydenta nastąpiła kolejna liberalizacja handlu z Chinami i że zapowiedziano jego wizytę przed majem 1972 roku. Jeżeli więc USA uczyniły nie jeden, a dwa potężne kroki naprzód — Chińczycy musieli też czegoś dokonać, a przynajmniej w formie obowiązującej coś zafiksować. Wobec braku jakiegokolwiek informacji na ten temat, snucie domysłów byłoby łatwe, ale pozbawione podstaw. W każdym razie nie mogły to być kroki czy przyrzeczenia małej wagi.

W świecie zachodnim zapowiedź wizyty Nixona w Pekinie przyjęta została z zaskoczeniem, ale na ogół z zadowoleniem. Oto kilka oświadczeń na ten temat. Przywódca republikanów w Izbie Reprezentantów, Gerald Ford, przyjaciel prezydenta: *wizyta może doprowadzić do zwołania konferencji pokojowej w sprawie Indochin*. Przywódca republikanów w Senacie, Hugh Scott: *najdonioślejsze wydarzenie na polu polityki za-*

granicznej od czasów II wojny światowej. Przywódca demokratów w Senacie, Mike Mansfield: *może to oznaczać początek nowych czasów i nowej ery*. Ale nie brak i takich głosów, jak głos pastora McIntire: *odrzuć wszelkich zasad moralnych*. Zacytujmy wreszcie opinię sekretarza generalnego ONZ, U Thanta: *decyzja otwiera nowy rozdział w historii stosunków międzynarodowych*.

I chyba ta ostatnia opinia, ostrożna i ogólnikowa, jest najbardziej prawidłowa. Bo istotnie, wizyta prezydenta USA w traktowanej dotychczas przez niego jako wroga ChRL może otworzyć nowy rozdział w stosunkach międzynarodowych. Rzecz tylko w tym, czym ten rozdział zostanie wypełniony.

Właśnie w maju przyszłego roku, tuż przed upływem terminu zapowiedzianej wizyty, w USA rozpoczęła się prezydencka kampania przedwyborcza. Nixon chce ponownie objąć najwyższy urząd. Ale pamięta, że w poprzedniej kampanii zobowiązał się za równo do polepszenia stosunków z ChRL, jak — przede wszystkim — do zakończenia wojny wietnamskiej. W społeczeństwie amerykańskim od dłuższego czasu narasta niechęć, czasem wręcz wrogość wobec przeciągającej się wojny i jej skutków: upadku prestiżu USA, tysięcy zabitych i rannych, niezwykłych wysokości kosztów, postępującej demoralizacji interwencyjnych wojsk amerykańskich, która to demoralizacja coraz szerszym strumieniem przesiąka na rodzimym gruncie amerykańskim. Chociaż więc ciężkimi tylko udanymi, lecz przecież spektakularnymi wizytami w Pekinie będzie argumentem, który może przysporzyć Nixonowi miliony głosów.

Bardziej obiektywne spojrzenie z areny międzynarodowej nie pozwala na tak entuzjastyczne, a raczej historyzujące oceny jakim dali wyraz niektórzy politycy amerykańscy. Rzecz bowiem sprowadza się do tego, czy i kiedy Stany Zjednoczone uznają istnienie Chińskiej Republiki Ludowej i w konsekwencji zgodzą się, naciskając odpowiednio zależnie od siebie państwa, na przyjęcie tego największego kraju świata do ONZ. Sprawa rozstrzygnie się już na rozpoczynającej się we wrześniu sesji Zgromadzenia Ogólnego.

Ale kłopot nie tyle ze stanowiskiem USA, niesłusznym i nie liczącym się dotąd z realnymi faktami, ile ze stanowiskiem ChRL. Chodzi tu bowiem tak o przynależność czangajskowskiego Tajwanu do ONZ, jak przede wszystkim o jego członkostwo w Radzie Bezpieczeństwa. Nie wydaje się, by ChRL miała zamiar zrezygnować z przysługujących jej praw. Nixon zaś w swoim oświadczeniu telewizyjnym powiedział dosłownie: *Nasza akcja, zmierzająca do nawiązania nowych stosunków z ChRL, nie będzie przeprowadzana kosztem naszych starych przyjaciół*. A więc ani kosztem Tajwanu, ani Wietnamu południowego, ani Korei południowej? Jakim cudem — tego chyba sam Nixon nie potrafi powiedzieć. Bo przecież nie chodzi tu tylko o deklarację, ale o czyn.

Już od chwili pierwszych ustępstw wobec ChRL i nawiązywania z nią kontaktów administracja nixonowska na wszystkich szczeblach zabiegala konsekwentnie o to, aby tych posunięć nie tłumaczono sobie jako akcję, skierowaną przeciw jakiemś innemu krajowi. Ze szczególną wrażliwością nadśledzano w Waszyngtonie odgłosy z Moskwy i stolic krajów socjalistycznych. Wiadomo przecież, że cała polityka chińska nacechowana jest wrogością wobec Związku Radzieckiego i jego sojuszników, że najpierw doktrynerstwo, a potem już całkiem fałszywa interpretacja marksizmu-leninizmu doprowadziła do rozbiecia KPChin, a jej przywódców i ocalałe resztki na szkodliwe, rozbiłkacie pozycje.

W komentarzu do oświadczenia o swojej projektowanej podróży, Nixon powiedział jeszcze: *Nasza akcja (...) nie jest wymierzona przeciwko jakemukolwiek innemu krajowi (...)* Podjąłem tę akcję ze względu na moje głębokie przekonanie, że wszystkie kraje odniosą korzyść ze spadku napięcia oraz z lepszych stosunków między USA a ChRL. W tym właśnie duchu udam się w podróż, która — jak głęboko wierzę — będzie podróżą na rzecz pokoju nie tylko na okres naszego pokolenia.

Pięknie by było, gdyby tak było naprawdę. Niestety, cała powojenna polityka USA, wbrew wszelkim deklaracjom pokojowym kolejnych prezydentów tego kraju, zmierzala dość konsekwentnie w zupełnie innym kierunku. I zmierza nadal, czego przykładem Bliski Wschód. Jakże więc wierzyć tym zapewnieniom i nie podejrzewać, że pod podszywką pięknych słów nie kryją się inne niż pokój cele? Zwroćmy wreszcie uwagę, że zarówno wzmagające się kontakty amerykańsko-chińskie, jak i zapowiedź samej wizyty następują w okresie, gdy w wyniku arbitralnej polityki Pekinu następuje systematyczne pogorszenie stosunków pomiędzy ChRL a krajami socjalistycznymi, jak również między dzisiejszym kierownictwem KPChin a międzynarodowym ruchem robotniczym.

Czy w zbliżeniu z USA Chinę nie będą szukały źródła do wzmocnienia swojej wrogości wobec krajów socjalistycznych i ruchu komunistycznego? Czy taki nie jest jeden z głównych celów, obok krótkotrwałego atutu w kampanii wyborczej, obecnej polityki amerykańskiej?

Dopiero przyszłość będzie mogła odpowiedzieć na te pytania. (jd)

Zmarli

● 52-letni Ignacy Witz, znany przede wszystkim jako znakomity malarz, grafik i rysownik. Miał obrazy i rysunki w całym kraju i za granicą, ostatnio w Hadze i Luksemburgu. Był także wybitnym krytykiem sztuki. Napisał z tej dziedziny kilka książek, m. in. „Obrazy malarstwa wyobraźni”.

● 66-letni pisarz litewski Antanas Venclova. Rozgłos przyniosły mu powieści „Przyjaźń” (1938) i zbiór opowiadań „Noc” (1939). W 1952 roku za „Wiersze zebrane” otrzymał nagrodę państwową ZSRR. M. in. tłumaczył utwory Jarosława Iwaszkiewicza.

Literatura

● Ukazały się „Wiersze”, stanowiące część I tomu wielkiej edycji dzieł wszystkich Adama Mickiewicza, wydawanej przez Ossolineum i Instytut Badań Literackich PAN. Całość zostanie zawarta w 4 seriach. Jest to 41 z kolei edycja dzieł wszystkich Mickiewicza.

● Ukazała się książka „Syn i widma” Stanisława Czernika. Są to szkice na temat zagadnień sztuki i kultury ludowej, wybrane z tekli pośmiertnej przez syna pisarza.

● „Krdłowski statek Batory” — taki tytuł będzie nosiła książka Jerzego Perka, swolista monografia tego statku. W druku znajduje się inna książka Perka — drugi tom pracy „Morze w ogniu”, obejmujący lata 1942—1945.

● 209 wystawców wzięło udział w tegorocznym III Międzynarodowym Festiwalu Książki w Nicei. Równoległe odbyło się szereg sesji poświęconych książce. Stwierdzono, że w całym świecie ruch wydawniczy wzrasta, a książki jest najtańszym i chyba najbardziej skutecznym instrumentem kultury i propagandy. Nagrodę „Wielkiego Złotego Orła” przyznano pisarzowi amerykańskiemu Edmundowi Wilsonowi za powieść „Myślałem o Daisy”, „Złotego Orła” poezji poeci francuskiemu Pierre Seghersowi za całokształt twórczości.

● W serii „Powieści XX wieku” PIW ukazała się książka Elisabeth Langgasser (w przekładzie Ireny i Egon Nagano-wskich) pt. „Droga przez moczary”. W bardzo drastyczny sposób ukazuje ona „podglebie, a właściwie bagno, na którym zrodził się hitleryzm”.

● Przewodniczącym Zarządu Związku Pisarzy ZSRR wybrano na zjeździe Konstantina Fiedina, najstarszego pisarza radzieckiego bezpartyjnego. Sekretarzem został Gieorgij Markow.

● 61 wydawnictw w ZSRR publikuje książki dla dzieci. W roku bieżącym ukazuje się 600 tytułów w nakładzie 135 mln egzemplarzy.

● W artykule „Gdzie podzielił się bohaterowie” Robert Delderfield, krytyk angielski, tak pisze o literaturze swego kraju: „Wraz z bohaterem znikną w naszej literaturze te wszystkie ideały, które oni reprezentowali, o które walczyli. Współczesna literatura uczy czytelnika, że cały świat to jedna ohydna kloaka wypelniona zbrodniami, niepcioniami i maniakami seksualnymi”.

● Ministerstwo oświaty na Cyprze po raz pierwszy przyznało dwie nagrody literackie. W dziedzinie poezji otrzymał ją Costas Montis, w prozie przedstawił najmłodszego pokolenia Panos Ionnides.

● Ukazała się nowa powieść 18-letniej Pearl Buck „Dom kwiatów”. Przypomina ona dzieje madame Butterfly, która jednak tu jest nie Japonką, ale Koreańką. Tendencja jest oczywista — chodzi o usprawiedliwienie obecności wojsk amerykańskich na Dalekim Wschodzie.

Film

● Po przeglądzie polskich filmów fabularnych w Łagowie Lubuskim nagrodę „Złotego Groma” otrzymali: za reżyserię — Andrzej Wajda („Brzezina” i „Krajobraz po bitwie”), scenariusz — Teresa i Janusz Nasfeterowie („Abel, twój brat”), scenografię — Tadeusz Wybult („Romantyzm”), „Lokis” i „Dziękuję”, zdjęcia czarno-białe — Jan Łaskowski („Dziura w ziemi”), zdjęcia kolorowe — Stefan Matyjaszkiewicz („Lokis”), za rolę — Stanisława Celinska („Krajobraz po bitwie”), i Daniel Olbrychski („Brzezina”).

● Kin w Polsce jest obecnie 3285 — o 4 proc. mniej niż przed rokiem. W takim samym stosunku zmniejszyła się ilość miejsc.

● Krystyna Gryczewska kończy w Łodzi film dokumentalny „Włókniarz” — zbiorowy portret kobiet pracujących ciężko w zakładzie pracy i w domu.

● „Movifilm” rozpoczął realizację filmu fabularnego poświęconego ludom, którzy stworzyli podstawy radzieckiej techniki rakietowej, oraz pionierom lotów kosmicznych. Reżyseria i scenariusz Daniela Chrabowickiego.

● Filmowy bestseller „Love story”, nakręcony na podstawie powieści o tym samym tytule, otrzymał w Hollywood nagrodę pisma satyrycznego „Lampoon” za „najgorszy film roku”.

Teatr

● Warszawski Teatr Ludowy wystawił liczącą już 80 lat sztukę Bernarda Shawa „Zołnierze i bohater” w reżyserii Kazimierza Rudzkiego i z Hanką Bielnicą.

● „Najbardziej udane spektakle odwadniają, że sukces zjawia się wówczas, gdy teatr potrafi sam nawiązać współpracę z autorami” — pisał J. Czerpanow w „Izwestii”.

Sztuka

● Do zbiorów wawelskich za pośrednictwem muzeum w Sanoku trafił wspaniały zabytek sztuki złotniczej — srebrna, grubo polaczana taca z początku XIII wieku, ręcznie kuta i trybowana, wagi 3,5 kg, z bogatą ornamentyką. Jednym z jej właścicieli był kiedyś Stanisław Siadnicki — „diabeł lańcucki”. Znalezione ją u jednego z mieszkańców wsi Jurówek koło Sanoka.

● Nad rzeką Techuri w Gruzji odkryto relikty osadnictwa z epoki brązu — m. in. róg jelenia używany jako lemisz, warsztat garncarski oraz szydła kościane.

● W bułgarskiej Dobrudży otwarto muzeum nawnadnania, które zlokalizowano w pomieszczeniach dawnej stacji pomp.

● Nad dawnymi rzekami na Saharze, po których pozostały tylko wawyzy w kierunku Nilu i Nigru, znaleziono osady rybactwa z VIII tysiąclecia przed naszą erą.

● Paloma, córka Picassa z jego długotrwałego związku z Françoise Giot, autorka głośnej książki o współpracy artystycznej z matką, projektuje i wykonuje artystyczną biżuterię. Nie chce korzystać z nazwiska ojca, używa tylko samego imienia.

● Przy drodze z Madrytu do Walencji, trzy godziny jazdy od stolicy, w wspaniałych domach na stokach górskich istnieje muzeum hiszpańskiego malarstwa abstrakcyjnego. Malarz Fernando Zobel, nie mogąc się pogodzić z dyskryminacją sztuki abstrakcyjnej, własnym sumptem urządził do muzeum, posiadające dzisiaj 400 eksponatów.

● Zaginiony w okresie wojny domowej w Hiszpanii obraz El Greco „Wniebowzięcie” został odnaleziony w Nowym Jorku.

● Na letniej wystawie w londyńskiej Royal Academy o „Arts” pokazano także miniatury młodzieńkiej Marty Czok, która urodziła się w Lbanie, a kształciła w Anglii, ale z pochodzenia jest Polką.

Muzyka

● Filharmonia Narodowa zamkneta sezon wykonaniem monumentalnej IX Symfonii Beethovena.

● Poznański kompozytor Zenon Schuberl pracuje nad oratorium „Gigantizm”. Jest to sztuka napisana na świeżo dzieło literackie z obszaru baśniologicznego. Tekst adaptuje Lucyna Zakrzewska.

● Operetka Warszawska wystawiła z powodzeniem „Zemle nieopera” Jana Straussa w reżyserii Erwina Leistera i pod kierownictwem muzycznym Zdzisława Górzyńskiego.

● Ukazała się pierwsza (dopiero!) płyta długograja z nagraniami piosenek w wykonaniu Urszuli Sipińskiej.

● VII Międzynarodowy Festiwal Piosenki „Złoty Orfeusz” w Słonecznym Brzegu zakończył się jeszcze gorzej niż nasz w Opolu. Jury, poparte przez publiczność, nie przyznało ani „wielkiej” ani I nagrody, a dwie następne powszechnie są krytykowane.

● W lipakim archiwum państwowym odnaleziono uważane za zniszczone podczas ostatniej wojny listy Mozarta do jednego z wydawców muzycznych oraz listy synów Bacha i inne, razem 2 tys. pozycji.

● Koncertem w Hollywood zakończył swoją karierę Frank Sinatra, owacyjnie żegnany przez tłumy słuchaczy.

● Aby pokryć wzrastający deficyt, dyrekcja Metropolitan Museum of Art w Nowym Jorku wprowadziła niewielki eksperyment: wiedzący o placu na bilety ile chcą. Po miesiącu okazało się, że wpływy są większe niż przy dawnym systemie, chociaż bywało, że jedni oblicili tylko centa, ale inni po 1\$, a nawet po 25 dolarów.

● Charles Ananour przez trzy tygodnie występuje w jednym z nowojorskich teatrzyków na Broadwayu. Każdego wieczora śpiewa 17 piosenek po angielsku i 12 po francusku.

● Na występie do Europy przybył Joe Turner, były członek orkiestry Armstronga, jeden z ostatnich mistrzów stylu Dixieland. Turner, grając prawą ręką na fortepianie, lewą kolejno gra na banjo, kontrabasie i perkusji.

Film

● Po przeglądzie polskich filmów fabularnych w Łagowie Lubuskim nagrodę „Złotego Groma” otrzymali: za reżyserię — Andrzej Wajda („Brzezina” i „Krajobraz po bitwie”), scenariusz — Teresa i Janusz Nasfeterowie („Abel, twój brat”), scenografię — Tadeusz Wybult („Romantyzm”), „Lokis” i „Dziękuję”, zdjęcia czarno-białe — Jan Łaskowski („Dziura w ziemi”), zdjęcia kolorowe — Stefan Matyjaszkiewicz („Lokis”), za rolę — Stanisława Celinska („Krajobraz po bitwie”), i Daniel Olbrychski („Brzezina”).

● Kin w Polsce jest obecnie 3285 — o 4 proc. mniej niż przed rokiem. W takim samym stosunku zmniejszyła się ilość miejsc.

● Krystyna Gryczewska kończy w Łodzi film dokumentalny „Włókniarz” — zbiorowy portret kobiet pracujących ciężko w zakładzie pracy i w domu.

● „Movifilm” rozpoczął realizację filmu fabularnego poświęconego ludom, którzy stworzyli podstawy radzieckiej techniki rakietowej, oraz pionierom lotów kosmicznych. Reżyseria i scenariusz Daniela Chrabowickiego.

● Filmowy bestseller „Love story”, nakręcony na podstawie powieści o tym samym tytule, otrzymał w Hollywood nagrodę pisma satyrycznego „Lampoon” za „najgorszy film roku”.

Różne

● Sejmowa Komisja Kultury i Sztuki, rozpatrująca sprawę współpracy kulturalnej z zagranicą, obok wielu pozytywnych stwierdzeń brak dostatecznie synchronizacji i korelacji działań, wskutek czego nie wszystkie środki przewidziane na ten cel są właściwie wykorzystane.

● Przez dwa tygodnie przebywała w naszym kraju delegacja kulturalna Koreańskiej Republiki Ludowo-Demokratycznej z wiceministrem kultury Czan Czol na czele.

● Mamy obecnie w kraju 63 teatrów dramatycznych, 21 teatrów lajkowe, 9 oper, 3 operetki, 12 filharmonii, 7 orkiestr symfonicznych, 15 przedsiobstw estradowych i 21 cyrków. Wszystkie one mają ponad 53 tys. miejsc na widowniach.

● W lipcu odbył się w Krakowie dwutygodniowy festiwal kulturalny „Dni Kijowa”. W październiku w Kijowie odbędą się „Dni Krakowa”.



WCZERWCU odbył się w Warszawie IV ogólnopolski Festiwal Pieśni Ukraińskiej. Od roku 1968 takie festiwale odbyły się już w Sanoku, Koszalinie i Ketrzynie. Tegoroczny odbył się z 15-leciem Ukrainkiego Towarzystwa Społeczno-Kulturalnego, które ma duże osiągnięcia w pracy kulturalno-oświatowej wśród obywateli polskich narodowości ukraińskiej, w tym również w pracy nad rozwianiem narodowej kultury muzycznej i artystycznej.

Festiwal warszawski złożony był z dwóch części — koncertu ukraińskiej pieśni ludowej oraz koncertu pieśni chóralnej i estradowej. W części pierwszej wystąpiły takie zespoły, jak Chór ukraińskiej szkoły podstawowej w Białym Horze (woj. koszaliński), zespoły pieśni i tańca liceum ogólnokształcącego w Legnicy (woj. wrocławskie) i w Górnie Hawleickim (woj. olsztyńskie), młodzieżowa grupa wokalna „Synia Lentożka” z Przemysła, ludowy zespół kobiecy ze wsi Kainików spod Przemysła, kapela ludowa tzw. „troista muzyka” ze wsi Bobrowniki, chór ludowy ze wsi Leikowo, regionalny zespół pieśni i tańca „Lemkownyna” z woj. rzeszowskiego oraz warszawsko-gdański chór mieszany UTSK.

Zespoły przedstawiły w dojrzałym na ogół formie artystycznej bogactwo ukraińskiej pieśni ludowej, ze szczególnym uwzględnieniem takich regionów jak Lemkowszczyzna, Bojkowszczyzna i o okolice nad Sanem. Wyjątkowo udatnie i autentycznie zaprezentował się ludowy chór kobiecy ze wsi Kainików złożony z 12 osób: kobiety śpiewały a capella autentyczne pieśni ze swojej wsi, śpiewając na lawie i wysyjąc. Występ wzbudził zasłużony zachwyt u licznie zebranej widowni. Autentyzm ludowego wykonania miejscowych kolomyjek przedstawił ubrani w stroje bojkowskie grajkowie wiejscy ze wsi Bobrowniki. Równie interesujące i przyjemne, dla ucha i oka były śpiewki lemko-wskie.

(woj. olsztyńskie), grupa estradowa UTSK, złożona ze studentów ukraińskiej warszawskiej. W wykonaniu tych zespołów charakterystyczne było połączenie literackiej i ludowej wykonawczych ukraińskiej i próbą wykonawstwa „nowoczesnego”. Szczególnie sympatycznie wystąpił tu student warszawski — dziewczęta wykonywały pod akompaniament gitar pieśni ludowe. Podobał się wszystkim montaż wokalmuzyczny „Na karpackiej orbiście”, wykonany przez zespół przemyski w układzie Bohdana Słutryka. Należy podkreślić duży wkład dyrygentów, w tym przede wszystkim mgra Jarosława Polańskiego, który jest poza tym abieraczem pieśni ludowych, głównie lemko-wskich, oraz kompozytorem.

Występowali również artyści zawodowi scen polskich, a mianowicie Bernard Ładysz i jego żona Leokadia, Włodzisław Denysenko z Warszawy oraz Mirosław Krawczuk ze Szczecina. Śpiewali pieśni operowe i operetkowe w ukraińsku i po polsku, dodając festiwalowi rangi artystycznej i splendoru.

Na warszawski festiwal pieśni ukraińskiej zjechali się młodzi tej pieśni ze wszystkich krańców Polski, obecni byli także przedstawiciele polskich władz partyjnych i państwowych, a także goście z Kijowa, Przeszowa (Czechostowarcja) i Kanady. Pożom artystyczny został oceniony jako najbardziej z dotychczasowych udany.

W Warszawie do stolicy z Bieszczadów i Beskidów, śpiewane pod akompaniament kapeli ludowej. Dobrok zespołów ludowych środowisk ukraińskich w Polsce przedstawiony był na festiwalu w całej swej krasie i barwności autentycznej. W drugiej części festiwalu występowały także zespoły ukraińskie jak grupa wokalna „Trojanda” z Lublina, zespół handurzystów ze Szczecina, chór mieszany ze Słupska, zespół estradowy „Beskidy” z Przemysła, zespół estradowy „Smerlecka” z Bań Mazurskich



Mieszkania

NAJTRUDNIEJ jest — wspominać. Idąc przed siebie kierujesz się drogowskazami. Przynajmniej mógłbyś kierować się nimi. Ale idąc przeżyła już drogą — wstecz? Czy pamiętasz każdy jej zakręt? Jakże łatwo jest zbroczyć na nieprzejętym przez ciebie ścieżki. Gdzie wtedy szukać minionej prawdy?

Na nie nie przyda mi się w zamierzonej podróży chronologia zdarzeń. A przecież droga rozpoczęła się od jakiegoś punktu jeżeli po z górą siedmiu dziesiątkach lat znalazłam się w tym oto miejscu czasu i przestrzeni.

Nie, to nie będą „wspomnienia” przebytej drogi. To będzie rzecz „o Spotkaniach przy drodze”. Pierwsze z nich będzie Spotkanie z dzieciństwem. Może w ten sposób uda mi się wydobyć z zawodnej pamięci niezawodne ślady tego, co sprawiło, że jestem kim jestem.

Napotkali ludzie. Tak. Ale nie tylko oni. Przecież świat ludzi związany jest ze światem przyrody. I nie tylko. Z przedmiotami stanowiącymi najbliższe otoczenie. Tych nie potrzebuję szukać. Znajdują się w każdym kolejnym mieszkaniu.

„Więc — mieszkania.

Mieszkanie, w którym przyszłam na świat znam tylko z opowiadań Matki. I było to mieszkanie przeznaczone raczej tylko dla nich Dwojga: dla Matki i dla Ojca, jako że po niespełna półtora roku od mego zjawienia się w nim, Rodzice je opuścili.

W opowiadaniach Matki ważne były nie ściany izby przydzielonej na mieszkanie młodemu ogrodnikowi i jego nowo poślubionej żonie, ale warzywnik z inspektowymi oknami, sad owocowy, aleja starych drzew prowadząca przede dwór i kwiatnik pod oknami dworu majątku Bronowice leżącego w pobliżu rzeki Wisły po przeciwnej stronie miasta Puław, dokąd w lecie ogrodnik w asyście ogrodników przewoził lodziak owoców i warzywa, a zimą „chodzący się po lodzie”, z przewodnikami, którzy szli przedem przed ludźmi próbując wytrzymałość lodu. Ci przewodnicy mieli ze sobą na wszelki wypadek bosaki, ale i tak zdarzało się temu i owemu wpaść zniecałkiem pod lod. Nie słyszano jednak, żeby się ktoś na amen utopił. Gdy kra sła rzeką — przeprawy nie ryzykowano. W tamte czasy ludzie głupi nie byli, ot co!

Przypominając sobie owo znacznie później już, żałowałam, że dłużej w tych Bronowicach nie przebywałam. Miałabym ja z koleśki opowiadać.

I jeszcze jedno warto było zapamiętać: schody.

W tamtym bronowickim mieszkaniu sprawy Matce kłopot właśnie ze względu na mnie. Prowadziły prosto przed „naszych” drzwi na górę, do sąsiadów. Nie chodziło o samych sąsiadów, spokojnych, życzliwych, ale że ja, ledwie zaczynając raczkować wdrapywałam się uparcie po chwiejących stopniach byle wyżej! byle prędzej! ku przerażeniu dorosłych:

— Pani ogrodnikowa! Znowu to samo: już toto na górę! Jeszcze zleci i co sobie zrobi!

Ale jakoś ni razu nie spadłam. Całą i zdrową przywieźli mnie Rodzice w dalszą okolice Puław, do Należcowa, gdy Ojcu, kiedy zachorował na zawodową chorobę ludzi narażonych na przebywanie prawie niestannie pod gołym niebem, w wilgoci na zimnie i w skwarze, w prymitywnych warunkach bez możliwości wypoczynku — dziewczeczka wymówiła pracę, naturalnie bez jakiegokolwiek odszkodowania.

Młode małżeństwo znalazło się więc dosłownie „na lodzie”, bo z nadejściem Nowego Roku trzeba było ustąpić miejsca nowo zgodzonemu ogrodnikowi.

Zima jak zima. Znikąd pomocy żadnej. Ale przecież nie na pustyni się żyło. Mówiła Matka, że rok przed tym, czy może dwa, znajoma rodzina z Bronowic przeniosła się do tego jakiegoś Należcowa i tam się osiedliła. Stangret to był, który powołanie cudowymi dworskimi końmi zamienił zrazu na takie powołenie końmi Zakładu Uzdrowskiego, a w krótkim czasie udało mu się kupić czy też wydzierżawić na własną rękę stajnię z powozem, bryczką i, rozumie się — końmi. Zarabiał wozem „gości” ze stacji kolejowej i do stacji. Zło im się, tym Zaraskim, wcale nieźle. A jak im, to i każdy „da tutaj sobie jakoś radę”. Tak oto dawali o sobie znać do Bronowic, i jeszcze dodawali, że „można by się może wystarać o leczenie dla chorego, bo w zakładzie reumatyzm kąpielami borowinowymi z ludźmi wyciągają doktorzy. Tylko, że taka rzecz kosztuje”. Ale co jest na świecie dla biedaków, co by nie kosztowało? Zaryzykować można.

Zaryzykowało więc młodych dwoje. Bo to, co sobie byli umyśli, a właściwie to ona, sama ze siebie do dziedziczki, bez jego, męża, wiedzy poszła, że „ogrodnik, mąż znaczy się, pensji się rzeknie, a ogród w dzierżawę na spółkę z takim, który miał na pokrycie żywej gotówki połowę (na stół tylko połowę) a resztę po zbiorach oba oddadzą”... z tego nic nie wyszło.

Mówi się trudno. Więc nowy los, nowa miejscowość, ludzie... Prócz wymienionych już znajomych znaleźli się i krewni. Nie od razu. Po czasie niedługo jedna zamełna rodzona jego siostra starsza ściągnęła z mężem stolarzem. Po nich druga, młodsza, urodziła, także już mężatka. O tym jej małżeństwie mówiło się raz tak, raz inaczej — męczycyna została do końca niewzity w rodzinie żonina. Tak mi to jakoś w dziecięcej pamięci zostało.

Fach miał popłatny: mechanik, ślusarz, każdą robotę potrafił na medal. Do tego z Warszawy przybyli oboje, tyle, że i on nie warszawiak rodem, ale nie jak ona z tułtejszych królewskich — ze Żmudzi, której nikt jako żywo nie znał. O powrocie tam gadał, że ziemię kupi, sam za chłopą, rozumie się, nie będzie, bo szlachcic, „połownika” sobie weźmie, ten mu będzie robił za połowę zbioru. „Taki u nas na Żmudzi obyczaj”.

Męczycyna z niego musiał być urodziwy jeżeli śliczna Zosia do utraty wianka upodobala go sobie. Dawał też jej to odczuć gdy wpał w pasję, a pieklił się o byle co i wtedy te, jego smoliste wielkie oczy czarowo, jak u byka, lyskały. Flegmatyczny szwagier, stolarka meblowa się trudniący mówił z dysgustem o „czarnym podniebieniu Żmudzina”.

Musiło mi się owo powiedzenie obić o uszy (dla których to uszu, rzecz jasna, przeznaczone nie było), bo kiedyś zażądałam

jedynaczka. Ale tak się tylko mówi. Naprawdę zamieszkuje izbę czworo. Czwaro — to maszyna.

Maszyna

Maszyna zajęła najlepsze miejsce. Maszynie należało się także. Ona musiała mieć światło. Pod oknem jest największe światło. Tutaj ona stoi. Nie można maszyny potrącać — ona może. Potrąca. Siniaka potrafi nabić! Z żelaza jest. Maszynie wolno hałasować! Hałasuje nawet w nocy, gdy inni muszą spać, albo chociaż leżeć cicho w łóżku. Maszyna daje pieniądze na chleb i na komorne.

Któregoś dnia, nie wiadomo dobrze kiedy, chyba na początku lata, z maszyną stało się coś dziwnego. Znikła. O, nie! Nie na zawsze. Nie było jej może tydzień, może dłużej. A gdy wróciła na swoje miejsce, była jak nie ta sama. Większa i jeszcze

Ewa Szelburg-Zarembina

Fragmentsy

(Ze wspomnień)

kategorycznie wyjaśnienia od Matki, powołując się na to, że wiem iż „kocięta i Mazurzy ślepi się rodzą”, ale „tylko dobry zły pies ma czarne podniebienie”. Czy i jakie dalsze były konsekwencje plemiennych animozji — nie wiem. Wracam do mieszkaniowych peregrinacji.

I znowu z opowiadania (tym razem dwojga, bo i Ojciec miał po temu czas w te dni tak bardzo dla niego podobne do nocy) wiem, że drugim z kolei mieszkaniem była też jedna izba, ale nie w czworacznym budynku, lecz w drewnianej „willi” przeznaczonej dla przyjeżdżających na sezon „letników”. A więc bez takich zbytek, jak ogrzewanie pomieszczeń. Kuchenny piec owszem, był, lecz „nie trzymał ciepła”. Woda czerpana ze studni przez noc w konewce zamarzła. Na misce do mycia grzechotał cieniutki lód. „To hartuje” mawiała Matka szorując mnie lodowatą wodą i zaraz po tym wsadzając mnie w dziwny, specjalnie przez nią na mój użytek obmyślony ubiór z ciepłej, grubej „bali”, stanowiący coś w rodzaju kaftanika skrojonego razem ze spodkami, w których mieściły się i stopy nie potrzebujące już obuwia. Tak opatuloną sadzała Matka na stoleczku na kuchennej blasze, pod którą od rana do wieczora utrzymywał się nikiły żar tacy w popiele. Było mi ciepło, mogłam ustawić drewniane klocki, jakich miałam kilka na wyłączną własność. Tylko nie mogłam opuścić komina dopóki nie przyszła pora żeby wyluskać mnie z owej bali, szybko wdziać mi cieńszą, bo już tylko barchanową bieliznę, owinać w coś ciepłego, na przykład w stary ogrodniczy półkożuszek ojcowy i wynieść przed próg „na słońce” jeśli świeciło, lub „na powietrze” jeżeli było pochmurno.

Tamtej zimy według słów Matki prze-ważnie bywało pochmurno. Padal śnieg. Nawiewało go smugami pod próg do izby. Gdy nadeszła wiosna, już tam nie mieszkaliśmy. „Kubaszówkę” widywałam później często (willa od nazwiska właściciela nosiła nazwę Kubaszówki), ale nie przyszło mi nigdy na myśl zajrzeć do izby, w której spędzałam całe dni na kuchennej blasze w towarzystwie drewnianych klocków.

Rozumie się, że opowiadania dorosłych i dalej były snute na różne sposoby rozpa-trujące pomniejsze i większe zdarzenia z minionej bytowania. Ale i ja sama już mogłam odtworzyć ze wspomnień niejedno, jako że każda doba szerzej otwierała mi oczy i uszy.

Czy jednak łatwo wspominać „po porządku”? Oto stwierdzam dziś wyraźną lukę w mej ówczesnej pamięci. Mała to luka, ale przecież dotyczy ważnego zdarzenia. I nie wiem czemu mam to przypisać, że zupełnie nie pamiętam ani wyjazdu Ojca na kurację do Buska, ani przeprowadzki na nowe, trzecie z kolei mieszkanie, to, które służyło nam Trojgu przez dobrych kilka lat. Najpewniej przez dziesięć.

Mogę je opisać z niezawodną dokładnością: izba. Jedna. Drzwi do niej z ciemnej sieni. W wąskiej ścianie naprzeciw drzwi — okno o czterech sztybach. Pod lewą ścianą blisko drzwi komin z fajerkami, bez okapu, ale z szybem u góry. Szafka kuchenna obok komina, nad szafką półki. Pod drugą ścianą ciemnozielony kufer z wypukłym wiekiem. (Wdrapać się — można, ale utrzymać się tylko z trudem). Bliziej okna dwa jednakowe łóżka równolegle ustawione, każde przy swojej ścianie. Ojcowe pod obliczem Chrystusa w ciemnowej koronie, matczyne (w którym i ja mam swoje miejsce „od ściany”) pod obliczem Matki Boskiej Bolesnej.

Na środku izby stolik, o którym mówi się, że „ojcowy, kawalerski”. Przy nim trzy krzesła. Czwarte krzesło jest wysokim stołkiem bez oparcia i ciągle zmienia miejsce.

W tych ścianach, wśród tych sprzętów przebywa troje: Ojciec, Matka i córka —

cięższa. Nie potrzebowała okiennego parapetu — miała własne nogi do stania. Mówiła na nią „nożna”. No i teraz miała imię, wypisane złotymi literami na obu bokach. Śmieszne takie: „Singer”. Nie wypada śmiać się z takiego dziwola, ani przedrzeźniać. Najlepiej udąć, że to nic ważnego. Ważne i naprawdę dziwne było co inne. Ta Singer, ona, zaczęła nagle pieniądze zjadać. Tak. Po parę rubli naraz, „I tak będzie każdego pierwszego przez całe cztery miesiące” — powiedziała Matka prawie z płaczem. Ale nie można wyrzucić żarłoka z mieszkania „bo już bez niej nie było życia”. To także matczyne słowa, a głos wesóły. Dziwne? Dziwne. Więc jak jest naprawdę z tą maszyną? Prawda jest to, że coraz częściej otwierają drzwi jakiegoś obce panie. Staje taka jedna z drugą w prog, jeszcze nie weszła na dobre do środka mieszkania i już pyta: „Czy to tutaj?”... A maszyna jakby nigdy nie terkoce spod okna: brr-wrr-rrr!

Wtedy ta jedna z drugą mówią prędko i grzecznie: — Dzień dobry! Dzień dobry! Wchodzą, zamykają za sobą drzwi i od razu do stołu:

— Proszę, tu jest materiał. Świeży żurnal się znajduje?

Matka już wstała od maszyny, a maszyna cichutka jak trusia. Ani mru-mru. Ważny jest teraz żurnal. I materiał. Materiał rozwinięty z opakowania przesuwają się jak żywo po stole, przelewa się ze stołu na ręce gładzące go delikatnie, owija nurzające się w nim ręce. Ręce podnoszą go do piersi, do szyi:

— Twarzowy, prawda? Na letnią suknię. Bardzo pilne. Fason koniecznie najmodniejszy.

W palcach matki zjawia się centymetr. To taka ceratowa z numerkami tasiemka. Obce panie obstalowujące letnie suknie bardzo boją się tego centymetra, który jest tylko ceratową tasiemką, tyle że taką z cyferkami. Wystarczy, że matka owinie tym centymetrem piersi takiej pani albo biodra, a ta już krzyczy:

— Aż tyle w białści! Aż tyle w talii! Niemowlę. To chyba centymetr niedobry!!

Nie warto słuchać dalej. Bo dalej zawsze to samo: obce panie wychodzą, przychodzą, każda po parę razy. Maszyna terkoce, udaje że polyka materiał, ale to ona zamienia go na letnie suknie spacerowe, narzutki, szlafroki, matinki. I oto, któregoś dnia (ważny to dzień) trzeba się zgodzić, że to ona jest właśnie dostarczycielką „pieniędzy na życie”. Tak. Ona.

— Co chcecie — mówi matka do obojga (bo Ojciec wrócił akurat z tego jakiegoś Buska) — sezon w pełni, a co ja bym bez niej z igłą w palcach zrobiła? To dzięki maszynie mogłam wcześniej uwolnić nas od długów.

Od długów ludzie uwalniają się. Ale czy i od maszyn...?

Matka do końca swoich lat pozostawała związana ze swoją maszyną. Dziś wiem o mej Matce, że to Matka była pastwą pozornie służącego jej (a więc ówczesnie nam trojgu) przedmiotu, jaki „zarabiał na życie”, a w rzeczywistości przybliżył śmierć młodej, dzielnej, mocnej kobiety.

Manekin

Nawet gdyby nie towarzyszył maszynie, wyróżniałaby go spośród innych przedmiotów sama nazwa. Był odrębny od wszystkiego co swojskie, niepowtarzalne. Nagi, wyglądem przypominał drucianą klatkę, taką jak na szczygły i czyżki u biedniejszych, u bogatszych — na kanarki. Był jednak o wiele, wiele większy: na miarę człowieka średniego wzrostu, nawet nie na paroletniego dziecka, którym wówczas byłam. Ważne, że można wsunąć się do jego wnętrza gdy tak stoi z boku przy ścianie. Wsunąć się poza druty i spoza drutów, nie

wychylając głowy, przyglądać się wszystkiemu, co się dzieje przed drutami... Być na te długie chwile ptakiem bez skrzydeł zamkniętym w drucianej klatce, ale ptakiem, jaki sam siebie tu posadził i skąd sam może wyjść w każdej chwili. No, nie tak znów w każdej...

W manekinowym schowku nie trzeba dać się zauważyć przez nikogo z dorosłych. Bo jeśli cię zobaczą i ktoś zapyta, po co tam weszła? Nie odpowiesz już nigdy tak, jak wtedy, gdy odpowiedziałas Matce na jej pytanie:

— Co ty tam robisz?

— Smucem się.

To była prawda. Chociaż nigdy dobrze nie pojęłaś dlaczego Matka po chwili ciężkiego milczenia (które zaciążyło i tobie) rozplakała się krótkim szlochem. Ona. Nie ty, coś się schroniła do wnętrza drucianego manekina.

Przed czym utykałaś do przeczczystej klatki? Przed czeremną ścianami wąskiej izby? Przed niezrozumiałym światłem napierającym niewidocznie na te ściany?

Manekin nie zawsze był samym sobą. Ubierany w coraz to inną suknię dla obcych pań letniczek zmieniał się w kobiety bez głów. Nocami, żeby w ciemności nie straszyl, odsuwany był w kącie za maszynę i już nikt nie miał do niego dostępu.

Komu piosenkę?

Komu piosenkę, komu?
Mam czas na powrót do domu
— zaśpiewam jeszcze, komu?
Nie blisko, nie daleko
dom mój za siódmą rzeką
stoi na skrypciej strunie.
Nie patrzcie tam,
bo runie.
Lzy go zmywają i deszcze.
Komu zaśpiewać jeszcze
że — gdy zabrakło wiary
dom się zawalił stary.
A gdy zabrakło nadziei
dom znikal wśród zawieli.
I gdy zabrakło miłości
dom przeszedł do nicości.
Komu piosenkę, komu?
Bo idę szukać domu.
Dom izy rozmyli i deszcze,
ale gdzieś świeci się jeszcze
lampa nad książką rozwartą,
której już crytać nie warto
Nie usiądziemy za stołem,
on jak i my, jest popiołem.
Komu piosenkę, komu?
Kto szuka także domu...
Na starym krwawym globie
ipi cicho dom przy domie.
W czterech sosnowych ścianach
nikt nie pamięta o ranach.
W kosmos wlatują pojazdy,
strącają z nieba gwiazdy.
Komu piosenkę, komu?
Cyt... cicho... Ktoś wszedł do Domu.

Wydawnictwo Lubelskie zamierza w ciągu najbliższego półtora roku pobić wszelkie rekordy edytorskie w Polsce, publikując w tym czasie 12 tomów dzieł znakomitej pisarki Ewy Szelburg-Zarembiny. I to — jak twierdzi kierownictwo — w jednakowej twardej oprawie i na jednakowym papierze, wszystkie w nakładzie po 18 tys. egzemplarzy. Jeszcze w tym roku ma się ukazać pierwszych 6 tomów, a wśród nich powieści: „Ta, której nie było”, „Chusta Weroniki” i „Dziwczyną z zimorodkiem”, a także opowiadania z cyklu „Kryże z papieru” i części wierszy. Dwa ostatnie tomy w przyszłym roku obejmą utwory dla dzieci i młodzieży.

To wydawnictwo zbiorowe ukazuje się z okazji 50-lecia pracy pisarskiej, która przypada w przyszłym roku. Szelburg-Zarembina debutowała w 1922 roku książką dla dzieci „Dziwne przygody Duszka Dziódzińskiego”, wydana w zastępstwie oficy Arcta. Od tego czasu napisała 22 książki dla dorosłych, 89 pozycji dla dzieci (część z nich wchodzi do lektur szkolnych) i dokonała kilkunastu przekładów z języków obcych, głównie czeskiego, włoskiego i niemieckiego. Wiele książek ukazało się w kilku edycjach, pokatna część była tłumaczona na języki obce. W Polsce Ludowej nakłady jej książek osiągnęły łącznie 9 mln egzemplarzy. Ponadto napisała kilkaset artykułów w gazetach i czasopiśmie, audycji radiowych, przemówień. Obrazami i jakże wspaniałymi dorobek.

Dłaczego edycja zbiorowa ukazuje się właśnie w Lublinie? Ewa Szelburg-Zarembina urodziła się we wsi Bronowice pod Puławami, potem mieszkała w Należcowie i Lublinie. Po ukończeniu szkoły handlowej znakomitego pedagoga Władysława Kunickiego oraz polonistyki na Uniwersytecie Jagiellońskim, w Lublinie rozpoczęła swoją pierwszą pracę zawodową jako nauczycielka. Jak dziś wspomina, miała w swojej klasie 49 urwisów, których wychowywała w specyficzny sposób. Np. chodziła z nimi na doskonale zjadłe mleko na Sławinku, z drugiej opowiadała im wymyślone przez siebie baśnie. I właśnie te baśnie stały się twórczym pierwszymi książkami.

W związku z przygotowywanym wydaniem zbiorowym autorka niedawno odwiedziła Wydawnictwo Lubelskie. Z tej okazji zwróciliśmy się do pisarki, aby z nie publikowanych dotąd utworów przesłała coś dla „Kamenu”. Po kilku dniach otrzymaliśmy „Fragmenty” oraz wiersz, które publikujemy wyżej.

„Fragmenty” dotyczą najwcześniejszych lat dzieciństwa autorki, spędzonych właśnie w Bronowicach i Należcowie. Jest to część wspomnień, nad którymi Szelburg-Zarembina aktualnie pracuje. Nie będą to jednak „ryzykne” wspomnienia, ułożone chronologicznie, a raczej sylwetki prostych i ciekawych ludzi, z którymi spotkała się w życiu, zdarzenia, które wryły się w pamięć ze względu na jakies szczególne okoliczności. Są to projektowane tytuły całości — „Spotkania przy drodze”.

Dodajmy jeszcze, że przewodniczącym komitetu redakcyjnego dzieł zebranych jest dyrektor Wydawnictwa Lubelskiego mgr Paweł Dabek. Za wstęp do całości napisze prof. dr Jan Zygmunt Jakubowski, że dia 18 tomów całość przygotuje, opracuje koncepcję i układ merytoryczny dr Tadeusz Klak, szef Kolegium Redakcyjnego „Kamenu”. Ostatnie dwa tomy przygotuje dr Halina Skrobiszewska z Warszawy. Stronę typograficzną całości powierzone red. Zbigniewowi Markowi.

Aleksander Blok (1880-1921)

ŻYCIE MOJEGO PRZYJACIELA

Nowy przekład K. A. Jaworskiego

Dzień jak to dzień: sprawami wypełniony
I drobne troski wiecznie.
I orszak ich przed wzrokiem umęczonym
Przeplynie tak zbytecznie.
Zdenerwowanie — a w głębi pokora:
No cóż, gdy się nie uda.
Na duszy twojej dnie, wciąż bezradosnej, chorej,
Niewiara, smutek, nuda.
Pod wieczór już ta fala trosk opada
Wraz z słońcem, co się kłoni.
A kiedy mroźny mrak stolicą w krąg owłada
I zegar północ dzwoni —
Tak bardzo przagniesz snu, lecz straszna to minuta!
Skroś różnych myśli wątek —
W sens wszystkich twoich spraw nie wierzy dusza struta
Ni w cichy twój zakątek.
I nagle smutek tkliwie ściśnie cię za gardło:
Nie możesz westchnąć nawet
Jak gdyby noc na wszystkim kłęskę rozpostarła,
Na piersi siadł sam diabeł!
Więc zrywaj się, by biec przez ulic złych bezludzie,
Krzykniesz i nikt nie słyszy:
Gdziekolwiek zwrócisz wzrok, noc tylko siebie ludzi
I noc ci towarzyszy.
Nad tobą wkoło wiatr w przecięgach dziko dzwoni,
Nim wreszcie wschód zabłyśnie;
Policjant, by nie zdrzemnął się, odgoni
Włóczęgę od ogniska...
Aż upragnione w końcu przyjdzie już zmęczenie,
Obojętnością wsparte...
Sumienie? Prawda? Cóż? I życie? — w jednej cenie!
Czyż śmiechu to nie warto?

Patrzcie, oto ten bezsilny,
Nie ocalił życia sobie,
Ono tu jak duch mogilny
Zatrzaśnięte drzemie w grobie.
Na sklepieniu mroźnym w górze
Tak się splaszczyl dysk niezdrowy,
Który wszystko w krąg w naturze
Opluł żółcią swą widmową
I ty odejdziesz, druhu biedny,
Dość już, starczy cierpień twoich
Przez ten jego ból bezwiedny,
Przez bezwiedne niepokoje.
To, co było, przeminęło,
Los ten wszystkich jest udziałem:
Serce się do prawdy pięło,
Ale kłamstwo je zlamalo.

Przyszła kolej rzeczy zwykła:
Styli się młodzieńcze żary
I stopniowo w nim zanikło
Odczuwanie życia czaru.
Na nic zmysłów omroczenie,
W męce piekła pocieszenie,
Powyliczał wszystkie słowa,
Ale — rozbałotał głowa...
Długo gorzko go bolala,
Cialo z wolna mu drętwialo,
Co to? Co? — Już lat trzydzięści?
Ocknął się, a serce gdzieś.
Serce — grobem pobielanym.
I gdy nadszedł kres już znany,
Przyjął jako rzecz banalną
Duszy swojej śmierć fatalną.

Gdy kiedyś przypadkiem w niedzielę
Swą duszę gdzieś w mieście utracił,
Nie troszczył się o nią zbyt wiele
I śledczym agentom nie płacił.
A świadków by znalazł niemalo:
Ku niebu pies skargi zanosił,
Staruska pod bramą żebrala
I stróż o napiwek poprosił.
A kiedy już bramę przekroczył
I głowę w kołnierza głąb schował,
Kot z dochu wytrzeszczył nań oczy,
Jak gdyby go wtedy żalował.
Też świadek? Cóż jestem w oblawie!
Potrzebne współczucie mi katal...
W podobnej zabawie
Ten kocur i cnota!

Przyczepił się glupek bezdomny,
Jak znany ktoś depce mi piety.
— Gdzie twoje pieniądze? — W szynkowni.
— Gdzie serce? — Rzucone w odmęty.
I czegoż ci trzeba? — A tego,
Byś umiał otwierać mi serce,
Pakorny jak ja w paniewierce,
A więcej, mój druho, niczego.
— Idź precz! Nie znasz miary w bezwstydział!
Do duszy śmiesz wchodzić w kaloszach!
— Ty myślisz, że dwóch nas tu idzie?
Tyś w błędzie, obejrzyj się proszę...
Istotnie (a to ci problemat!)
Nikogo — i cóż to ma znaczyć?...
Spójrzalem na kieszeń — nic nie ma...
Spójrzalem w głąb serca... i płaczę...

Dzień mijal jak wszystkie jednako:
W nieszkodliwym obłędzie.
Rozmowy toczono dokola
O chorych, doktorach i lekach.
Przyjaciel — o pracy w urzędzie,
A inny o Chrystusie,
A o gazecie — czwartki.
Dwóch wierszopisów (wielbiących Puszkina)
Przysłało swe zbiorki
Z bogactwem rymów i stopy.
Kursistka przysłała
Rękopis z mnóstwem epigraforów
(Z Nadsona i symbolistów).
Potem dzwonił telefon,
Posłaniec podawał kopertę,
Pachnącą nieznaną perfumą.
Róże niech stoją na stole...
Napisał ktoś na kartce
I trzeba je było postawić na stole...
Potem kolega po piórze
Z brodą, co oczu sięgala,
Opowiadał rozwekle
O lamentacjach Chorwatów.

Krytyk gromił futuryzm,
Symbolizmem pomiął
I skończył na realizmie.
A później w kinie wieczorem
Wytorny baron calował pod palmą
Panienkę niskiej kondycji
Do swego poziomu ją wznosząc...
Wszystko w dokładnym porządku.
Pod wieczór zasnął głęboko
I w innym się kraju obudził.
Ni chłód paranka,
Ni słowo druha,
Ni róże kobiet,
Ni futurystów manifest,
Ni wiersze puszkiniasty,
Ni pies wyciący,
Ni turkot wozów —
Nic, nic nie mogło
Do świata go wrócić...
I co tu począć doprawdy,
Jeśli dokładny porządek
Milego ci padolu
Pogrążyć czasem w snach,
I w snach tych śni się wiele...
A przecież w nich nie zawsze
Jak w świecie dokładny porządek...
Nie, ockniesz się chwilami,
Wzruszony, niespokojny
Wskutak wspomnień niejasnych
I tajemniczych przecuć...
I zakipią ci w mózgu
Myśli nazbyt światliste...
I poskramiając ich nawal,
Jakby lekając się czegoś,
Pomyślisz: czyż nie lepiej,
Aby i dzień ten nowy
Przemijał tak jak zawsze:
W nieszkodliwym obłędzie?

Ach, grzesz, dopóki ciebie wzrusza
Niewinnych grzechów twoich czar,
Dopóki dziewcząt kwiat porusza
Twoich grzesznych wierszy złudny żar.
A na pociechę w zabaw gwarze
Chył do ust skrzęce winem szkło,
Dopóki wino cię rozmarza,
Dopóki wzrok zachodzi mgłą.
Gdy skądś zuchwale błysną oczy —
Odpowiedz im, że są ci w smak,
Ze wina i namiętnej nocy
Gorąco szepiesz zawsze „tak”.
Bo wszystko jedno czar ten prysnie
I może przyjąć pokuty czas,
Gdy w szale nam na głowy ciśniesz
Gromy, którymi przekłniesz nas.
I zaczniesz padać, lecz w otchłani
My jak aniołów czystych huf
Chwycimy ciebie, byś nie zranil
O ostry kamień swoich nóg.

Kiedy go zmgola wreszcie twoga
I nuda czcza wtrącała w szal.
On już zapomniat wielbić Boga
I grzesznym pieśniom upust dał.
Ale zdumieniem ogarnięty
Wzrok odzyskiwał — mętny tłum
Widziadł dawnych niepojętych
Nagle do jego wpadał dum.
Lecz z biegiem czasu już się znużył
I ostygl żar młodzieńczych burz,
I wszystkich świętych wspomnień próżność
Dziś uprzytamnia sobie już.
W nic więcej nie potrafi wierzyć,
Gdybyż okłamać siebie mógł!
I sam do moich błogich dźwięczy
Z apatią szuka sobie drog.
Dość mu, że Boga wielbi wierszem —
Nie głos to, lecz jękiłowy ton.
Otworzę mu, lecz trochę jeszcze
Niech się pomęczy tutaj on.

1913-1915 („Straszny świat”)

W Debreczynie też narzekają na stolicę

Dokończenie ze str. 1

Wystawę otwiera tow. Onosi, kierownik Wydziału Kultury i Oświaty Prezydium MRN w Debreczynie. Następnie zabiera głos przedstawiciel Kłajpedy. Bez kartki przemawia St. Błaziak, szef naszej grupy. Skąd u Polaków ta skłonność do wyróżniania się za wszelką cenę?

Największe zainteresowanie wzbudzały obrazy Ryszarda Lisa, który wraz z kolegami rozdaje autografy.

To prawda, nie dorobił się jeszcze Debreczyn odpowiedniej sali ekspozycyjnej, ale w zamian za to zafundował swoim plastynom obiekt, na którego widok naszym malarzom pociemniało w oczach. Długi, piętrowy budynek, zlokalizowany na peryferiach miasta i zanurzony w zieleni, składa się z kilkunastu segmentów — wygodnych mieszkań z obszernymi pracowniami o powierzchni ok. 75 m kwadr., przeszklonych i wysokich. Kosztował 8 mln forintów. Na tym przecież władze miasta nie zamierzają poprzestać, już obecnie gromadzą środki i materiały do budowy galerii sztuki współczesnej, której realizację przewidziano na początku lat osiemdziesiątych. To się nazywa myślenie perspektywicznie!

Siadamy w saloniku pracowni gościnniej — i na taką znalazło się miejsce. Przychodzą plastycy węgierscy: Topor András, Cs. Uhrin Tibor, Váro Márton. Pani Erzsike'a referuje sytuację plastyki w „metropolii nad Cisz”, od czasu do czasu szukając moralnego wsparcia w oczach towarzysza z debreczyńskiego komitetu partii.

Miejscowy oddział terenowy związku plastyków skupia ponad trzydzieści osób. Co roku odbywa się wystawa środowiskowa, sprawdzane są ekspozycje artystów z innych miast, w sumie w ciągu dwunastu miesięcy otwiera się do 40 wystaw. Ogniska plastyczne w szkołach należą do najlepszych na Węgrzech, od dłuższego czasu organizuje się międzynarodowy konkurs rytmu dzieci. Nie istnieje odpowiednik naszego Biura Wystaw Artystycznych. Pytamy o ceny obrazów. — Cena dobrego obrazu o wymiarach 40 na 60 cm waha się w granicach 5-7 tys. forintów. Najlepsi plastycy debreczyńscy otrzymują do 10 tys. forintów, czyli ok. 12 tys. złotych. Sporo prac kupują lekarze, naukowcy...

Do tych najlepszych należy klasyk malarstwa węgierskiego, Hollo László, urodzony w 1887 roku, laureat nagrody państwowej im. Kossutha, w twórczości zblizony nieco do Vlamincka.

— Eksperymentować można — odpowiada pani Erzsike'a na kolejne pytanie. — Artysty mogą robić to, co im się podoba, ale państwo i lud zdecydują, co im odpowiada. Każdy twórca ma swobodę w wyborze form i treści swojego działania, ale ta treść i forma muszą wynikać z humanizmu, mieć na uwadze człowieka.

Pytam więc, co sądzi o wystawie lubelskiej, na której przecie ani śladu wizerunków przedmiotowych czy figuralnych.

— Eksperymentować można... Przerzywam długim wykładem o genezie i uwarunkowaniach sztuki nowoczesnej w Polsce, który, wydaje się, najmocniej zainteresował malarzy węgierskich. Przechodzimy do pracowni naszych gospodarzy. Zapamiętałem Mártona. Váro Márton jest rzeźbiarzem, pracuje w kamieniu — blok z Kieleczyzny leży na podwórzu — i metalu. Zdyscyplinowane formy przestrzenne projektuje z myślą o pomnikowych realizacjach. Liczba zamówień na pewno nie dorównuje Pál Pátray'owi, realista na wszechstronnie miare naszego Koniecznego, autora warszawskiej „Nike”. Zaciekawia nas naszym projektem z medialnych blaszek, w którym równocześnie elementem plastycznym jest zapalające się i gasnące światło. Nerwowo i dykretnie wypycha nam w ręce katalog wystawy artystów węgierskich spod znaku Vasarely'ego, współtwórcy op-artu. Váro jest artystą młodym, ma najwyżej 23 lat, urodził się w Siedmiogrodzie rumuńskim, a dopiero od pół roku mieszka na Węgrzech dzięki małżeństwu z mieszkanką Debreczyna.

Po trzech dniach po raz drugi przyjechalśmy do „osiedla artystów”. Była noc, ognisko, szaszłyki na długich patykach, jakieś napoje w oplecionych gąsiorach, były ludowe melodie grane na fujarce. Byli przede wszystkim nasi węgierscy przyjaciele, którzy zgotowali to nocne przyjęcie, były gorące rozmowy o sztuce, polityce, o kobietach na koncercie, o spełnieniu każdej idei, że bez czystości moralnej nas wszystkich najsłabsze programy społeczne pozostaną na transparentach.

O godzinie 8 rano zakończyłem dyskusję z Andraszką, możliwą dzięki tłumaczowi o żelaznych nerwach i takiejż kondycji dr Nemethowi Béla, pracownikowi naukowemu katedry filologii klasycznej Uniwersytetu im. Kossutha, uczniowi profesora Kumanieckiego, pod którego kierunkiem studiował w połowie lat sześćdziesiątych na Uniwersytecie Warszawskim. Cóż byśmy robili bez

ciebie, Béla? Badacz Katullusa, Cicerona i... Rózewicza?

Pewnego dnia Tibor i Béla zaprowadzili nas do klubu „Kółka debreczyńskiego”, odpowiednika naszego Towarzystwa Miłośników Lublina, tyle że aktywnego. Klub przyciąga dziennikarzy, artystów, poetów. Oddany w kwintnie tego roku, niewielki, lecz ze smakiem urządzony, jest idealnym miejscem do nieoficjalnych spotkań przy „Tokaju”. Tak i dwie, trzy, pięć butelek już stoł przed nami.

Właśnie skończył się wieczór autorski poetki debreczyńskiej, Vafkoni Anikó, nie tak dawno temu małżonki Polaka, mieszkającego w Warszawie. Przystojna brunetka, poetka o ciekawej — twierdzi Béla — wyobraźni, więc poznałszy towarzyszykę względy skłaniają do zaproszenia się na spotkanie. Które zostaje przyjęte przez panią Anikó, lecz, niestety, z powodów niezależnych od polskiego dziennikarza nie zrealizowane, za co niniejszym przepraszam; mam nadzieję, że odwiedzą jeszcze Debreczyn.

— Ale właśnie wchodzi do klubu Bényei József, dziennikarz i poeta, lat czterdzięci, pochodzenie chłopskie, wysoki, przystojny. Musiałem zadać to pytanie.

— To już piętnaście lat... Dziś mamy inne problemy. Nie, literatura nie powraca do tamtych wydarzeń. Mnie osobliwie interesują stosunki zachodzące między jednostką a społeczeństwem, między indywidualnym a zbiorowym, interesują mnie konflikty zachodzące w momencie konfrontacji racji obu stron. Dydaktyczna funkcja literatury? — Czy pan chce znać stanowisko oficjalne, czy osobiste? — Wtrąca ktoś od sąsiedniego stolika. Cierpi ten „Tokaj”.

— Osobliwie uważam — mówi Bényei — że społeczeństwo jest na tyle dojrzałe, na tyle myśliczne, że nie wymaga pouczeń ze strony literatury, której zadania są niepomniernie ważniejsze i szersze. W momencie lektury oczekując od czytelnika, aby myślał równoległe z moim myśleniem, zawarty w tekście.

Bényei wydal dopiero jeden tomik poetycki, lecz dwa następne są już w druku. Okazuje się przy tym, że nie tylko my mamy kłopoty wydawnicze, na opublikowanie książki czeka się tu pięć — sześć lat. W Debreczynie nie ma instytucji wydawniczej, miejscowi pisarze są pod tym względem uzależnieni od Budapestu, który w ich mniemaniu krzywdząco traktuje ośrodki prowincjonalne. Na egoizm stolicy narzekają zresztą wszystkie środowiska — skąd my to znamy? „Najcieplej” temu, kto najbliższej ogniska siedzi”. A „pomyśleć” — mówi prozalk — że pierwsza drukarnia węgierska powstała właśnie w Debreczynie, w mieście wzmiankowanym w źródłach pisanych w roku 1211.

Bényei pracuje w dzienniku „Hajdu — Bihar Napló”, organie Komitetu Wojewódzkiego WSRP, który powstał w 1956 roku. Ponadto w Debreczynie ukazuje się znaczący w życiu literackim kraju miesięcznik „Alfold”, do roku 1954 noszący tytuł „Egitunk” („Budujemy”). Zamieszcza on sporo debiutów literackich oraz reprodukcji dzieł miejscowych plastyków, którzy z sympatią odnoszą się do zeszytowego formatu wydawnictwa.

Najwybitniejszym poetą współczesnego Debreczyna jest Kiss Tamás, w latach poprzedzających pierwszą wojnę światową związany z piśmem „Zachód”, które miało doniosłe znaczenie dla rozwoju nowoczesnej poezji węgierskiej. Mówią tu o nim „formalista”, i, doprawdy, brzmi to rozbrajająco.

Srodowisko humanistyczne skupione jest wokół Uniwersytetu im. Kossutha. Obiekty uczelni wzniesione w latach międzywojennych w stylu monumentalno-klasycystycznym, jako swoiste wyzwanie dla kultury krajów, które po pierwszej wojnie światowej weszły w posiadanie części terytorium cesarskich Węgier. Starszej generacji przewodzi prof. Barta János, estetyk, młodszel — krytyk literacki Füllöp László i Görömbel Andor, naukowic specjalizujący się w problematyce literatury węgierskiej poza granicami kraju, aktualnie w Czechosłowacji.

Andrzej Kolodziejek, Ryszard Lis, Adam Szyka — malarze, Stanisław Błaziak i niżej podpisany — ich towarzysze: wszyscy padamy ze zmęczenia. Węgrzy zrobili, co mogli, aby zapoznać nas ze stanem debreczyńskiego posiadania, nie ukrywając trudności i kłopotów. Czelcnowo zrewanżowaliśmy się im na przystojnym poziomie stołowym koncertem zespołu „Tenders” z Domu Kultury Kólejarsza; pani Bogumila Nawrot — co za dynamiczny gość! — błysłała kilkakrotnie, a szef zespołu, Zbyszek Zastawny, dał w saksofon swątkowo, co srowało wyrazna satysfakcję nie tylko publiczności, ale i kierownikowi DKK, panu Gustawowi Klementowiczowi, który ledwo ukrywał treme, choć na scenie nie występował.

Wiele jesteśmy zmęczeni i idziemy na „Jonó” — dobra rzecz, znaczenia poszukajcie w słowniku. Aha, Węgrzy — smierzała ochrzęcił nowo wzniesiony hotel imienia Lublina. Co na to nasza władza? Może by tak restaurację węgierską — kuchnia! — otworzył w Lublinie i nazwał ją „Debreczyn”?

Ireneusz J. Kamiński

Kamena str. 5

Spółdzielcze wyboje i grudy

gu roku nakazał zlikwidowanie około 100 punktów usługowych, prowadzonych przez tzw. ryczałtowców, którzy chroniąc się za tarczą spółdzielczości prowadzili w gruncie rzeczy prywatne interesy z nieproporcjonalnie dużymi zarobkami. W ten sposób wprawdzie wyłano dziecko z kąpielą, ale istota omawianej sprawy polega na tym, że tenże CZSP likwidując owe punkty nie odliczył z planu wartości ich produkcji.

W teorii więc obowiązywały dwa plany usług, pod koniec roku oba nierealne. W pojedynku władza terenowa — centralny zarząd, tzw. gospodarz terenu przegrał, bo nie on daje premie tylko CZSP. Trzeba było potem półrocznego handryczenia się różnych instancji na linii Lublin — Warszawa i odwrotnie, aby rzecz jakoś naprawić, dopiero w połowie następnego roku.

Według statutu, najwyższą władzą spółdzielni jest walne zebranie jej członków, a pomiędzy zebraniem rada spółdzielni. Według statutu do rady wybiera i odwołuje członków zarządu, zatwierdza plany i budżety, kontroluje ich wykonanie, tworzy i likwiduje zakłady wytworcze. W praktyce — zwłaszcza jeżeli chodzi o plany — jest to raczej teoria. W skoroszytach kilku rad istotnie znalazłem odpowiednie uchwały. Ale...

Ale zaczyna się od samej góry. W dniu 29 marca br. Zarząd WZSP przesyła swojej Radzie (na 30 członków z 11 prezosów, 1 dyrektor, 1 główny księgowy i 5 kierowników technicznych — przewaga aparatu administracyjnego wyraźna) pismo, które „dotyczy zatwierdzenia struktury organizacyjnej na rok 1971”, a która to struktura obowiązuje od 31 marca, czyli za dwa dni. Dopiero gdzieś po dwóch tygodniach CZSP przesyła plan etatów, od którego przecież zależy cała struktura. Ostatecznie Rada zatwierdza strukturę 26 kwietnia. To nie, że obowiązuje ona już od miesiąca, a praktycznie wprowadzono ją jeszcze wcześniej. To nie, że CZSP obciął po 4 miesiącach 9 etatów, wskutek czego na pokrycie nadpłat trzeba uszczuplić sumę, przeznaczoną na podwyżki plac. To wszystko nie — odpowiednia uchwała powędrowała do skoroszytu, chociaż w praktyce przedstawiała wartość makulatury.

W protokole z tego samego posiedzenia Rady — na które nie zaproszono zastępców członków „aby się nie poplątało w czasie głosowania” — czytamy: zatwierdzenie programu działania WZSP w zakresie poprawy warunków bhp w latach 1971—1975 — pytań nie zgłoszono, przyjęcie sprawozdania z działalności rady za rok 1970 — uwag nie zgłoszono, zatwierdzenie planów pracy rady na rok 1971 (jedna trzecia roku minęła) — uwag nie wnie-

siono. Nie można powiedzieć, aby to było pracowite posiedzenie.

Pewnie — Rada posiada komisje, które wcześniej badały różne sprawy i wydają opinie czy wnioski. Wydaje mi się, że większość komisji pracuje znacznie lepiej niż sama rada. Ale są i opinie, które nie wytrzymują żadnej krytyki. Oto komisja techniczno-ekonomiczno-produkcyjna (czy nie zbyt szeroki zakres?) Rady WZSP stwierdza, że w działalności klubu „Nowator” widoczne są efekty z tytułu wprowadzonych tematów racjonalizatorskich. I nic więcej. A efekty rzeczycielcie są — jeżeli konkluzje chce się je widzieć. No bo w ciągu 4 lat liczba wniosków wzrosła aż 6 razy. Prawda, ale ich efekty ekonomiczne tylko o 70 proc. Nie dziwił komisji również fakt, że na 92 spółdzielnie podległe WZSP tylko 35 należy do klubu. Ani to, że informator o wnioskach zastosowanych w 1969 roku rozesłano dopiero w październiku 1970 roku. Ani to, że z biblioteki fachowej na 20 tys. pracowników w ciągu roku skorzystało tylko 195...

Jadę na ul. Łęczyńska do „Farmochemu”. Po drodze, przy kawie — kawa jakoś też rozwiązuje ludziom języki — dowiaduję się o perypetiach, związanych z niedawnym walnym zgromadzeniem członków tejże spółdzielni. Na miejscu uzyskuje potwierdzenie.

Otóż zgodnie ze statutem spółdzielni w odpowiednim czasie zawiadomiła wszystkich zainteresowanych o terminie i porządku zebrania. Jak się okazało, otrzymali je wszyscy z wyjątkiem WZSP. Pokwitowania rzeczywiście brakuje, dla odmiany ktoś inny dostał dwa zaproszenia, niewykluczone, że nowy goniec coś poplątał w doreczaniu. Trzeba jednak dodać, że pracownik WZSP mający „obsługiwać” zebranie, doskonale o wszystkim wiedział, a sam Zarząd WZSP właśnie na to zebranie zatwierdził — chociaż to właściwie prerogatywa samego zebrania — premie dla członków Zarządu spółdzielni.

Alle rano, pół godziny przed rozpoczęciem zebrania, w spółdzielni zjawili się dwie pracownice WZSP oznajmiając, że zebranie jako „nielegalne” nie może odbyć się, pół godziny później sam prezes Zarządu WZSP telefonicznie oświadczył, że ponieważ nie dopełniono wymogu formalnego, zebranie nie może odbyć się. I mimo wszelkich tłumaczeń, nie odbyło się w tym terminie. Załoga „Farmochemu” zmarowała pół dnia pracy, który później — nie chcąc nadwierać planu — odpracowała w niedzielę, rezygnując z odpoczynku. Myślę, że jeżeli nawet formalizm był po-

stronie WZSP, to zdrowy rozsądek raczej nie. Załoga spółdzielni mówi na ten temat znacznie ostrzej.

Tenże „Farmochem” ma inny kłopot, w którego rozwiązaniu powinien pomóc właśnie WZSP, ale od dłuższego czasu nie pomaga. Mianowicie warunki produkcyjne i socjalno-bytowe są w części spółdzielni pod psem. Miano więc na wiosnę zbudować jeden segment hali produkcyjnej i jeszcze jeden segment dla urządzeń socjalno-bytowych, a także wykonać kilka innych prac. Sprawy i społecznie i produkcyjnie bardzo pilne.

Alle stempel „pilne” nie wystarczy, trzeba mieć wykonawcę. Jasne, że żadne z przedsiębiorstw państwowych takiej drobnej „partianiny” nie podejmie się. Ale przecież w ramach WZSP istnieje kilka spółdzielni, wykonujących właśnie tego typu roboty. Jednak — po pierwsze — miały one już dosyć roboty, po drugie — proponowane przez „Farmochem” prace nie są dla wykonawcy zbyt opłacalne. Spółdzielni zaś mają przede wszystkim WZSP narzucone takie wskaźniki planu, iż podobnych prac przyjąć nie chcą, bo nie wykonają swego planu. Tego, oczywiście, nikt głośno nie powie, ale wszyscy o tym doskonale wiedzą.

WZSP znalazł jednak wyjście, proponując na wykonawcę Spółdzielnię Malarzy, Lakierników i Usług Budowlanych. W imieniu tejże spółdzielni zjawili się dwaj panowie. S., podobno bracia, którzy robotę mieli wykonać w imieniu spółdzielni, ale raczej drogą prywatną, chyba pod postacią owych znanych już „ryczałtów”. Nawet zwielił trochę materiałów, ale potem nagle zażądali, aby załoga „Farmochemu” w czynnie społecznym wykonała pokazną część tzw. robót niefachowych. Jak obliczono w spółdzielni, gdyby załoga pracowała do końca roku przez wszystkie niedziele i święta — owej wyznaczonej wielkości nie mogłaby wykonać. Więc bracia pożegnali się z budową, a WZSP nadal obiecuje, że jakoś to załatwi.

Zresztą w innej sprawie same władze „Farmochemu” też nie są bez grzechu. Jedną z chałupniczek za nieterminowe wywożenie się z dostarczania wyrobów została przez Zarząd ukarana „regulaminowym” upomnieniem. W odwołaniu do Rady spółdzielni owa chałupniczka, tłumacząc się przewlekłym remontem domu w którym mieszka, prosiła o anulowanie kary. Rada prawny stanął na stanowisku, że regulamin nie przewiduje takich sankcji wobec chałupniczków. Rada jednak karę zatwierdziła, uważając chałupniczkę za „pracownika”.

Czytałem ów regulamin. Wyodrębniła on dwie kategorie: członków spółdzielni i pracowników, czyli tych, którzy są zatrudnieni w pełnym wymiarze godzin w obiektach spółdzielni — i do tych obu kategorii regulamin jest przystosowany. Nic natomiast nie mówi o chałupnikach, którzy wprawdzie od pewnego czasu korzystają z wielu uprawnień pracowniczych, ale „normalnymi” pracownikami w rozumieniu tego regulaminu nie są i być nie mogą, a są zatrudnieni na podstawie umowy o dzieło. Karę więc należy czym prędzej anulować i ewentualnie zmienić regulamin.

Raczej przypadkowo rozmawiam z koleją z członkami zarządu spółdzielni produkującej wyroby z drewna. Mniejsza o jej nazwę — identyczna sytuacja jest we wszystkich, zresztą powtarza się i w innych branżach.

Otóż pewien klient dowiedział się, że owa spółdzielnia ma na sprzedaż ładne stoliki po niezbyt wygórowanej cenie. Gdy przyszedł — stolików już nie było, ale zaproponowano mu zrobienie takiego samego, tylko po znacznie wyższej cenie. Klient był oburzony i stolika nie zamówił, a znajomym pewnie opowiadał, że go chciano nabrać. Tymczasem nie z tych rzeczy. Pierwsze stoliki nie były zrobione dla określonych klientów i stanowią ową „produkcję rynkową”, natomiast ten dla klienta miał być liczony jako usługa dla ludności. I rzecz w tym, że w pierwszym wypadku metr kwadratowy laminowanego blatu kosztuje 34 zł, w drugim zaś 190 zł. Jeżeli jeszcze uwzględnić procentowe narzuty — pokazna różnica w cenie jest ewidentna.

Jestem jeszcze w spółdzielni chemicznej „Permedia”. Tu Rada i jej komisje pracują bardzo intensywnie. Chyba nawet za bardzo, bo — jak mi się wydaje — w pewnym stopniu wyręczając komórki administracyjne. Rozumiem, że wynika to z dobrego poczucia, że wszystko w spółdzielni jest wspólną własnością, ale to chyba nie znaczy, aby jedną wyręczał drugich.

Natykam się natomiast na inną sprawę. Praca przy produkcji pigmentów kadmowych jest nie tylko bardzo ciężka, ale powietrze przesycone jest szkodliwymi związkami chemicznymi. Pluća chronią maski, ale ubrania robocze nie tylko znacznie szybciej się niszczą, lecz i stale brudzą i zakurzają, w dodatku wciąż innymi kolorami.

Branżowy związek krajowy — któremu podlega „Permedia” — pewnego dnia zakazał, jak było w tradycji, przydzielania robotni-

kom dwóch ubrań roboczych i płaszcza, pozostawiając tylko jedno ubranie. Kto przez 10 minut będzie przebywał w hali produkcyjnej dojdzie do wniosku, że ubrania powinno się prać co tydzień, najwyżej co dwa. A tu — po pierwsze — ze względu na podła wciąż jakoby naszych ubrań roboczych żadne nie wytrzyma 12 prań w ciągu roku. Po drugie — co wloty przez następne dwa tygodnie, gdy ubrania są w pralni?

Zapytałem prezesa, co by się stało, gdyby Rada jako jego władza poleciła mu mimo zakazu związku — a taki zakaz jest tylko aktem administracyjnym — kupić owe drugie ubrania. Odpowiedział: natychmiast bym kupił. Następne pytanie: i co dalej? Odpowiedź: w zeszłym roku związek nakazał bez wahania obciążyć mnie osobliwie kosztem tych ubrań, teraz chyba nie. Ja też tak myślę. Ale dlaczego mimo monitów spółdzielni związek nie cofa nieustannego zakazu, dlaczego Rada — według statutu najwyższa między walnymi zebraniem władza spółdzielni — tego prezesowi nie nakazuje?

Tak wygląda rzeczywistość na spółdzielczych dołach. Jak nieco wyżej — też było. A jak na jeszcze wyższym szczeblu? Wystarczy dwa przykłady.

Otóż dynamikę rozwoju w całej spółdzielczości, nie tylko w spółdzielczości pracy, określa się w rocznych planach takimi samymi wskaźnikami jak przemysł kluczowy. Nie jest to słuszne z tego prostego powodu, że spółdzielczość nie otrzymuje procentowo takich samych środków jak przemysł kluczowy — środków w postaci maszyn i surowców, inwestycji budowlanych, transportu itp. Często i funduszu plac. Inwestycje były dotąd raczej skromne, stąd i często baraki czy wręcz szopy zamiast hal produkcyjnych, a w nich ciastota, wcale nie tak rzadko maszyny sprzed pierwszej wojny światowej, znacznie gorsze niż w kluczu zapiece socjalno-bytowe.

Po drugie — spółdzielczość otrzymuje wciąż zbyt małe przydziały surowców jeszcze reglamentowanych, często zaledwie połowę tego, co potrzeba na wykonanie zatwierdzonego planu. I potem albo się planu nie wykonuje, albo różnymi — mówiąc eufemistycznie — drogami zdobywa brakującą ilość. W dodatku z reguły i przydziały i owe uzupełnienia to surowiec drugiej, często trzeciej klasy, nawet odpady — a żąda się wyrobów pierwszego gatunku. Chyba i Salomonia nie znalazłby tu rozwiązania.

Jak dotychczas, w nowej polityce gospodarczej sprawy spółdzielczości zostały dopiero zamarkowane. W odpowiedniej chwili przyjdzie czas i na ich rozwiązywanie. Chyba jednak już teraz warto zacząć dyskusję, aby w tej odpowiedniej chwili mieć konkretny plan działania.

Jerzy Dostatni

WOJĄŻE MŁODEGO MAGNATA

Adam Andrzej Witusik

„Bracię się tylko z senatorami telektami, z hetmanami wielkimi, z ludźmi rycerskimi i uczonymi”.

Szymon Szymonowicz

PIEĆDZIESIĄT z górą lat liczył kanclerz i hetman wielki koronny Jan Zamojski, kiedy z czwartej żony Barbary Tarnowskiej, córki Stanisława, kasztelana sandomierskiego doznał się potomka. W pierwszych dniach kwietnia 1594 r. w Zamościu przyszedł na świat Tomasz. Ojciec wiązał z osobą syna wielkie nadzieje i spore ambicje, zwłaszcza że był on jedynakiem.

Jan Zamojski bardzo wcześnie skryształizował w swej świadomości poglądy, jakimi drogami powinno potoczyć się przyszłe wychowanie syna. Ty, Akademia Zamojska, córo moja tuba — mówił kanclerz niespełna rok po urodzeniu się Tomasz — ty równo dzielisz miłość mą z synem moim Tomaszem; z równym stara-

niam jego i twoje początki pielęgnować ja będę; ciebie postanowiem młodzień jego przeodniem; tobie pieczę nad plemieniem moim powierzam.

Systematyczną naukę rozpoczął mały hetmanowicz w 1601 r. Nauczycielami jego byli między innymi Wojciech Bodzicki, Szymon Birkowski, Adam Burski, Tomasz Dreznar, a „dyrektorem nauk i Inspektorem” poeta Szymon Szymonowicz. Młody Zamojski mieszkał w Zamościu i wraz z innymi paniami, którzy z nim wspólnie nauki odprawowali przerabiał kurs nauk Akademii Zamojskiej, uzupełniając go nauką języka niemieckiego, tureckiego i tatarskiego. Okres nauki nie kończył się dla Tomasz z ukończeniem studiów, tj. w 1612 r. W latach 1615—1617, czyniąc w tym dosyć woli testamentowej ojca swego, odbył peregrynację zagranicę.

Takie podróże „turystyczno-naukowe”, „informacyjno-polityczne”, odbywał wówczas prawie wszyscy młodzi magnaci. Wystarczy wymieni tu chociażby Jakuba Sobieskiego, Rafała Leszczyńskiego, Krzysztofa i Łukasza Opalińskich, Jerzego Ossolińskiego czy Stanisława Lubomirskiego. Z racji kosztów rządziej odbywała te podróże średnia i drobna szlachta, ta ostatnia uczestniczyła w nich tylko w formie pomocniczej, jako osoby towarzyszące orszakowi młodzieży magnackiej. Fala peregrynacji objęła przede wszystkim Włochy, Francję, Belgię, Holandię, Niemcy, Szwajcarię, rządziej Anglię, Hiszpanię i Ziemię Świętą. We Włoszech kierowano się głównie do Padwy, Wenecji, Rzymu, Florencji, Bolonii i Neapolu, we Francji — do Paryża i Orleanu, w Belgii — do Lowanium, w Holandii — do Lejdy. w Niemczech — do Wittenberga, Lipska, Strasburga, Heidelbergu, Monachium i Frankfurtu nad Odrą, w Szwajcarii — do Lozanny, Zurychu, Bazylei i Genewy.

Peregrynacje zagranicę zawierały w sobie wiele pierwiastków twórczych i kulturalnie płodnych. Otwierały szeroko drogę do nowoczesnej kultury i wprowadzały Polskę w ścisłe kontakty intelektualne z najbardziej wówczas po-

stępowymi przedstawicielami myśli europejskiej, dawały możliwość zapoznania się z szczytami osiągnięć kultury Zachodu, nowymi prądami politycznymi. Dla młodzieży magnackiej peregrynacje zagranicę stwarzały ponadto możliwość osobistego poznania wielu dostojników dworu francuskiego, cesarskiego, papieskiego, weneckiego, angielskiego itd., co później — w okresie piastowania w kraju urzędów ministerialnych i senatorskich — było im niezmiernie przydatne.

Jednocześnie peregrynacje zagranicę zawierały w sobie wiele pierwiastków negatywnych. Budziły eklektyzm, powierzchowność, kosmopolityzm, polowanie na modę, stwarzały wreszcie niebezpieczeństwo niedoceniania własnej, rodzimej kultury.

O wyborze trasy peregrynacji decydowały w dużej mierze względy wyznaniowe. Jeśli przedśledzimy trasy podróży zagranicznych dydyentów i katolików, to dojdziemy do wniosku, że różniły się one znacznie. Tak na przykład Krzysztof Radziwiłł „Piorun”, głowa różnowierstwa litewskiego, zabraniał synowi wyjazdu do Włoch i Hiszpanii, zalecał natomiast Niemcy, Anglię, Niderlandy i Francję. Znany bigot Krzysztof Radziwiłł „Sierotka” wysyłał syna do Włoch, Hiszpanii i Francji; we Włoszech zalecał zwłaszcza odwiedzić Rzym, aby złożyć hold papieżowi. Młodzień obu wyznań, obok Francji, spotykała się w Niderlandach, gdzie poznawano się z przodującą wówczas w Europie sztuką japońską.

Tomasz Zamojski, podobnie jak jego rówieśnicy, palnął chęcią wyjazdu. Drogę do wszystkich dworów europejskich miał otwartą. Wyjątek stanowił jedynie chyba dwór cesarski, ponieważ ojciec Tomasz był wrogiem Habsburgów. Jako syn kanclerza i hetmana wielkiego koronnego, człowieka, którego ceniła i szanowała cała Europa, mógł młody magnat wszędzie liczyć na dobre przyjęcie.

Wyjazdem hetmanowicza w podróż zagraniczną żyło całe zamojskie środowisko kulturalne. Między in-

nymi były jego wychowawca Szymon Szymonowicz napisał do udającego się wraz z Tomaszem w podróż zagraniczną Piotra Oleśnickiego niezwykle interesujący list, w którym kreślił program peregrynacji:

„Jeśli jeździć, nie jeździć kłami (...). Wziąwszy zaletę listy od JKMc, aby naprzód stanął na dworze cesarza chrześcijańskiego i tam przypatrywał się dworowi austriackiemu, to jest szukał znajomości u cesarza JMci samego, która by go osobnie potkała. Tamże znajomości brałoby się z trojga narodu ludźmi, którzy się tam bawią; z Węgrzy, z Czechami, z Niemcy. I Hiszpan tam gęsty, i Włoch. Więc przebrób czynnie między ludźmi, aby się leda kogo nie dotykało, to jest bracię się tylko z senatorami wielkimi, z hetmanami wielkimi, z ludźmi rycerskimi i uczonymi, jakich na dworcach pańskich zawsze jest dostatek. Z takowymi wszystkimi i znajomości na potem sławne i potrzebne, i ojczyźnie i domowi użyteczne. I ćwiczenie wielkie i niemylne... Zawiąszy się tam pół roku i po jedynawym sobie znajomości w transkursu (= po drodze) mogłoby się wstąpić i do tego i owego księcia rzeskiego, i do wejrzań też w rządy dworów ich. Miasta też niektóre porządne nawiedzić.

Zdaniem Szymonowicza, podróż powinna być odbywana „sposobem żakowskim”, tzn. Tomasz przed przybyciem do obcego państwa powinien na podstawie lektury zapoznać się z jego historią, obyczajami i ustrojem, gdyż — jak pisał — byłoby o czym mówić i pytać się.

Dalszymi etapami podróży, proponowanymi przez Szymonowicza, miały być Włochy, Hiszpania, Francja, Anglia i Dania:

Potem stanął na weneckim dworze, który też jest napoty kupiecki, ale przede wszystkim Rzeszpospolita tamta sila ma wielkich i godnych ludzi, i porządku barzo chędogo. Stradzi, wiwisy tam ze dwadzieścia niedziel, jeżdżo więcej, według potrzeby. Jeżdżo do Rzymu na dwór papieski, nabrzeż mieszka przytem nawiedzając in transitu (= w drodze) z Weneccji mogłoby się wybożyć do księżca florenckiego, gdzie też jest jakoby tyranis, ale i dwór wielki, i dostatek porządny, i rycerski człowiek gęsty. Z Rzymu nie zawadzi Matję nawiedzić. Staniad do dwor hiszpański. Staniad do Francji, gdzie też król jest wielki i godnych ludzi. Obie to królestwa wiedziby po pół roku. Z Francji do Anglii, tamby też było u przyjeściel. Z Anglii, Duńczyka nawie-



Tomasz Zamojski w wieku dziecięcym. Ryt. Peter Overrat w Kolonii, 1686 r. Fot. Archiwum

Bęben

Edmund Skarżyński

Rozblyski przedkanikularne

Maria Bechcyc-Rudnicka

DZIEN. a właściwie wieczór, niemal taki sam jak każdy inny. Przy stolikach miejscowego lokalu, który usiłuje nazywać się kawiarnią, bywalcy. Rozchętane kogniaki, zaczerwienione — przecież nie od kawy — twarze, klęby papierosowego dymu. Piją — mniej lub więcej jawnie — po dwie butelki sikacza na głowę. Nie więcej niż zwykle, normalnie po dwie butelki. Przychodzą, przysiadają się do stolików, wypiją swoje, poklepują koleśków, wychodzą i znów wracają do geesowskiej kawiarni. Jak ten czas cholernie powoli mijają.

W pobliskim klubie Rolnika sobotnia potańcówka. Jeszcze się nie zaczęła, więc gromadki młodych ludzi krążą tu i tam, zaglądają co chwile do owej kawiarni. Panny, po dwie lub trzy, krążą w pobliżu, odpowiadają śmiechem na zaczepki chłopców, nie obrażają się o nic. Jest ich znacznie mniej niż chłopców. Udadzą się do klubu gdy rozlegną się pierwsze takti muzyki. Teraz jest okres wycieczkowania, kolarstwa par.

W klubie zaś przewodniczący koła ZMW ogarnia wzrokiem skrzyżki z oranżadą, a kierowniczką równo ustawia szklanki. Alkoholu nie będzie. W zamian jest kawa, herbatniki i serca w czekoladzie. Ale gdy zacznie się wieczorek, ci z sąsiedztwa będą już dostatecznie nasyceni winem — i nie tylko winem.

Tadeusz Siejko też pokrępał się płynem. Jasne beczkowe, zmieszane z czymś „dla pokrzepienia”. Podchodzi do niego jeden i powiada: weź bracie, bęben i idź do klubu pograć. Tomaszowiaki już są. Romek Kwaśny także. Tadeusz do końca opróżnia butelkę, potem zarzuca bęben na plecy i nieco chwiejąc się idzie.

Kolo remizy strażackiej, którą musi wyminąć, stoi sześciu. Śpiwają, pokrzykują, rechoczą. Bęben na plecach muzykanta wygląda jak potworny garb. To rozwesela stojących. Otaczają Siejkę, podskubują, szarpia za ubranie, dogadują. Nagle najwyższy z nich, widocznie ufny w swoją przewagę, uderza pięścią w bęben. Głuchy odgłos zachęca go do dalszych uderzeń. Ale nie tylko w napiętą skórę instrumentu. Cioty padają na barki, szyje, twarz. Siejko to wierzą do tyłu, to wyrzuci nogi przed siebie, na oślep, byle opędzić się od padających rąków. Jedno z kopnięć trafia Edwarda Dzikowskiego w brzuch. Chyba jednak niezbyt mocno, bo Dzikowski podchodzi bliżej, jedną ręką łapie klapy marynarki muzy-

kanta, drugą, prawą, wymierza mu soczysty cios w same usta. Tryska krew. Nieszczęsny bęben chwieje się na plecach, wydając żalose dźwięki.

Siejko ucieka, jęcząc z bólu. Wie, jak może zakończyć się bójka z rozwścieconą szóstką. Ale przekleństwa jego prześladowców są coraz bliżej. Wreszcie oni sami dopadają go, biją, kopią. Początkowo bęben niczym skorupa żółwia chroni skuloną, powaloną już na ziemię sylwetkę. Nagle ostrze noża pruje wyschniętą skórę instrumentu i dochodzi do ciała ludzkiego. Na szczęście zatrzymuje się na kości łopatk.

Instynkt samozachowawczy raz jeszcze podrywa Siejkę. Pędzi ciemną drogą przez środek wsi, dopada do zagrody Wojciecha Dębickiego i szuka schronienia w sieni. Ale bęben zawadza o futrynę drzwi, muzykant grzęźnie tuż za progiem. Gdy pozbywa się pasów, podtrzymujących instrument, jest już za późno. Otrzymuje jeszcze trzy ciosy nożem. Półprzytomny przewraca się wprost w koryto z karmą dla drobiu, jeszcze kalecząc sobie dotkliwie twarz.

Z izby wybiega gospodarz. Zna go wszyscy we wsi, on zna wszystkich. Napastnicy zatrzymują się, a widząc, że Siejko leży nieruchomo, wolno wycofują się i nikną w mroku. Dębicki obmywa rany, sprawdza pomoc lekarską. Potem cała sprawa nabiera toku urzędowego: milicja, prokurator, sąd, więzienie.

Po kilkutygodniowej kuracji Siejko opuścił szpital, ale jeszcze przez długie miesiące będzie musiał chodzić przy pomocy laski. Mogłoby się wydawać, że po tym wszystkim na sprawców przyszło otrzeźwienie. Ale wieś wciąż jeszcze ma specyficzne spojrzenie na praworządność, na obyczaj, rządzi się własnymi prawami tam wszędzie, gdzie nie sięga władza państwa. Rodziny sześciu napastników będą uparcie twierdziły, że Siejko udawał „chodząc jako kaleka”, żeby wymusić większe odszkodowanie. I że chodziło mu także o to, aby sąd wydał wyższe wyroki na sprawców. Świadczenia lekarskie? W ich oczach tym razem nie mają żadnego znaczenia. Przecież stary Siejko sprzedał krowę tylko dlatego, aby zdobyć dobre papiery do sądu.

Żeby tylko to. Do milicji zaczęły napływać anonimy na rodzinę Siejków. Najważniejszy zarzut brzmiał: Siejko kradnie drzewo z lasu. Milicja chcą nie chcą musiała rozpocząć dochodzenie, które potwier-

Dokończenie na str. 9

dziwszy, do domu się szczęśliwie wrócił.

W ostatnich dniach stycznia 1615 r., po otrzymaniu od Zygmunta III listów polecających, wyruszył młody Zamoyski w swą pierwszą podróż zagraniczną. Był już wtedy niespełna dwudziestoletnim młodzieńcem. Stosunkiem do nauki korzystnie odbijał od większości młodzieży wyjeżdżającej za granicę. Brak źródeł nie pozwala określić liczby osób towarzyszących Tomaszowi podczas tego wояжу, ale wolno się domyślać, że było ich sporo. Z nazwiska możemy wymienić tylko Piotra Oleśnickiego, ciętcego brata Tomasz, studiującego niedługo w Paryżu i Pądiew na koszt Jana Zamoyskiego, oraz ks. Wojciecha Bodzkiego, profesora Akademii Zamojskiej. Ten ostatni spełniał zapewne funkcję mentora peregrynacji, czuwając nad tym, aby młody magnat nie poznawał Europy przy kielichu i grze w karty, a w życie Zachodu nie wprowadzały go swawolne cory Koryntu.

Droga wiodła przez Pomorze Szczecińskie, północne Niemcy do Amsterdamu, dalej morzem do Anglii, stamtąd do Francji — do Tours, Orleanu, Paryża, wreszcie do Włoch — do Genui, Lukki, Rzymu, Neapolu, Loretu, Wenecji. Droga powrotna prowadziła przez Szwajcarię, Bawarię, Czechy i Śląsk.

Nie dysponujemy osobistymi relacjami z peregrynacji zagranicznych Tomasza Zamoyskiego, ani też relacjami jego towarzyszy podróży, dlatego też bardzo trudno jest stwierdzić, jak zachowywał się młody magnat i na co zwracał uwagę. Zachowane z tego okresu listy hetmanowca dotyczą głównie spraw finansowych! Nie ulega najmniejszej wątpliwości, że peregrynat oglądał wiele dzieł architektury i interesował się muzyką. Obook pogłębiania zainteresowań artystycznych podróz poszerzyła jego wiedzę wojskową. Uczestnik walk z Tatarami w 1612 i 1613 r., uczeń hetmana Stanisława Żółkiewskiego, właściciel Zamościa — jeden z najlepiej ufortyfikowanych twierdz na południowo-wschodnich terenach

Rzeczypospolitej — nie ominął, zdaje się, żadnej okazji, aby obejrzeć twierdze znajdujące się na trasie jego podróży, ba — w Rzymie odbył studia z zakresu fortyfikacji i inżynierii wojskowej.

Był w wojsku niderlandzkim i u wodza jego natchnacza sławnego Maurycjusza dla przejęcia trybu i porządku wojska ich. — Pisał jego sługa Stanisław Żurkowski. — Także potem i u wojsku hiszpańskim i u wodza jego Ambrósio Spínoli. Od obudwu honorowiczeństwa przyjęty i bardzo wysoko nie tylko sądził, że był symem hetmana, na uszytek kłusał sławnego, ale i stad, że z tego dawcipu, rozstrojności i wysokięgo rozsądku, wszyscy wielkie rzeczy sobie po nim obiecywali, i z nim familiarissime konwersowali.

Do Londynu przybył w połowie lipca 1615 r. i spędził tu około pięciu miesięcy. Przyjaźniel z lat szkolnych Tomasza, wojewodzie lubelski Jakub Sobieski, zwiadzący Anglię w 1609 r. tak charakteryzował dwór londyński:

Królowa natchnacza Jakub, który był pierwsi królem szkockim, pan dobrułiwy, i zdał się po onej królowej angielskiej Elizabecie, białejgłowie puznej, okrutnie, chytnej i przewrotnie, panem dosyć łaskawym, ludzkim i szczerym. Rad czytał i prawcie był uszytek u kategoch, w militarcie. Przysnał mu to musze, iż wieku jego nie było i dawno przedtem urzędniejszego monarchy od niego. Ma to Londyn, że około niego jest sila ucieznych patachów królewskich. Kiedy wiec oddalać się dla swych rekreacji zwykli, kędyśmy króla z panem marszałkiem (Zygmuntom Myszkowikim) uitali, smieszna tam w te czasy postać duoru była: ani król z królową, swą żoną, nie mieszkali, ani córka z matką, ale w osobnych zamczkach. Każda u swoim, i osobnośny też uitali króla, królowę i królowę.

Młody Zamoyski stonował częściowo złe wrażenie jakie uczyniła na dworze angielskim książka Kaspiera Cichockiego, kanonika sandomierskiego „Alloquiorum Oseicentium sive variorum familiarium sermonum libri V”, w której autor między innymi rzucił obelgi pod adresem religijnych przekonań króla Jakuba I, porównując go z Nerone, zlorzęczył pamięć królowej Elżbiety I krytykował dzieło Jakuba I „Basilicon Doron”, mówiąc o boskości i postannictwie monarchów i nietykalności ich władzy.

(Dok. w następnym numerze)

WSROD emulacji artystycznych, które w przededniu panikuly mnożą się niepomiernie pod mianem spotkań, festiwalu, ba — sympozjów (uczta mi częstokroć bynajmniej nie będących), toruński Festiwal Teatrów Polski Północnej należy do imprez najnoblejszych. Ten pierwszy w Polsce powojennej festiwal teatralny zainicjowany przez miasto nie-stołeczne i nawet nie-wojewódzkie, choć uniwersyteckie, zyskał od lat popularność tak dalece godną pozazdroszczenia, iż ostatnio ten i ów „aktywista” spoza Torunia zaczyna dyskretnie lansować pewne pomysły „translokacyjne”. Miejmy jednak nadzieję, że raczej przybędzie po prostu jeden — drugi festiwal teatralny gdzie indziej, bez szkody dla tych, co zdążyły już ustabilizować się geograficznie. Możliwie najczęstsza wymiana doświadczeń inscenizacyjnych w różnych punktach kraju jest przeciw nieodzownym warunkom istotnego szerzenia kultury teatralnej.

Tegoroczny, XIII z kolei FTFP, dał przyjaciółmi sztuki dramatycznej sposobność obejrzenia czterestu inscenizacji zrealizowanych przez osiem teatrów: Teatr im. Wilama Horzycy w Toruniu („Wszyscy moi synowie” A. Millera i Mollerowski „Don Juan”), Bałtycki Teatr Dramatyczny im. J. Słowackiego, Koszaliński (Aleschylosa „Orestesja” oraz Jarry’ego „Ubu Król”), Teatr Ziemi Pomorskiej, Grudziądz (Szekspira „Makbet”), Teatr im. Stefana Jaracza, Olsztyn—Ełbiąg („Don Juan” Mollera i Słowackiego „Król Agis”), Teatr Polski z Bydgoszczy (Calderona „Księżniczka na opak wywrócona” i Krasińskiego „Nie-Boska...”), Białostocki Teatr im. Aleksandra Węgierki (Różewicza „Moja córka” oraz „Parady” Jana Potockiego), gdański Teatr „Wybrzeże” (Albee’ego „Maleńka Alicja” tudzież Różewicza „Kartoteka”), wreszcie poza konkursem — reprezentacja Państwowych Teatrów Dramatycznych ze Szczecina pokazała swego „Hamleta” w reżyserii Józefa Grudy.

Nadto w ramach XIII FTFP odbył się konkursowy przegląd Teatrów Małych Form i pozakonkursowy pokaz imprez towarzyszących.

Nie byłam w liczbie szczęśliwców, którzy skorzystali z całej obfitości „menu” festiwalowego, mogłam wpaść do Torunia zaledwie na dwa dni. Wybrałam „Don Juana” Teatru im. Horzycy i dzień „Koszaliński”.

Pamięć moja przechowała dwa sceniczne wcielenia postaci Don Juana. Pierwsze z nich — to Don Juan Węgrzyna w sztuce Zorilli, fascynujący, ekstremalny lekkoduch, zmienny kochanek, nacechowany „romansowością” do tego stopnia, że przez długie epoki uchodziła ona za główny wyznacznik jego osobowości, że zamieniła jego imię wiazne w rzeczownik pospolity. Drugim Don Juanem, którego widzę po dziś dzień wyraźnie, był bohater mollerowski w interpretacji Vilara, jakże pogłębiony, wciągający w dyskursu esprit fort, nieustępliwy w „szarganiu świętości”.

Od czasu Vilarowego obśnienia widziałam Don Juana tylko raz — we Wrocławiu. Niestety, całkowita jego argumentacja przepływała obójnym pradem obok widza, wpatrzonego we wspaniałą scenografię Basiora. Ta istniała sama dla siebie, monumentalna, z gruntu awangardowa, odsuwająca na marginesie słowa, dzieła, które przecie stanowiło rację jej bytu.

I oto teraz, w Toruniu, scenograf „Don Juana”, Antoni Tośta, wyposażył spektakl również w przebogaty wystrój sceniczny. W centrum — organy, po bokach kaplice, jakies przyściemnione freski czy witraże, u góry draperie, żyrandole, moc wszelkiej ornamentyki kościelnej...

Przyznam się, byłam na wstępie pełna obaw: znowu więc scena szczególnie zapełniona.

Ale jak to wszystko zaczęło grać! Przez drzwi od kuluaru wtargnął na widownię, przetoczył się przez nią przy fortissime dzwonów, tłum postaci w kostiumach z epoki — procesja z chorągiewami, z feretronami. Było w tym przeraźliwe technienie fanatyzmu, nasuwające nader aktualne analogie.

Raz po raz w lukach górnej kondygnacji owalnych „murów” nawy ukazywały się, jak groźne memento, sunące w blasku gromnie ciemne, zakapturzone postacie, areybractwo śmierci. Rozbrzmiewała muzyka organowa, nasiliły się dzwony, modły. No cóż, nie ulega wątpliwości, że reżyser, Krzysztof Rościszewski, lubuje się w efektach teatralnych wprowadzających widzów — rzec by można — w trans.

Otóż cały ów kram na scenie (i tranzytem — na widowni) stworzył znakomite tło socjalne, na którym, za sprawą kontrastu, nabrały szczególnych walorów faita et gestes Don Juana. Gdy więc ukazał się ON, niewymuszenie wytworny, z pałeczką „dyrygencką” w ręku, wiadomo już było, że to jest ktoś niezależny, wybitna indywidualność, zdolna stawić czoło ciemnogrodowi.

Rościszewski poszedł niejako w ślady Vilara, który ukazał Don Juana prawie wyłącznie jako obrońcę swobody myśli. Z tego punktu widzenia intrygi miłosne

bohatera są powodowane nie rozwiązłością seksualną, lecz buntem przeciw hipokryzji i narzuconym przez nią konwencjom.

Wielki Vilar mógł sobie pozwolić na ascezę inscenizacyjną nadając słowu wagę samym aktorstwem. Toruński reżyser musiał, rzecz prosta, zmobilizować cały kompleks nowoczesnych środków teatralnych, by osiągnąć analogiczną wymowę ideową. Największą zasługą Rościszewskiego jest to, że użyte środki nie przesłaniały aktorów, lecz stały się ich sprzymierzeńcami, ułatwiając im wypunktowanie ważniejszych partii tekstu.

W stworzonych jej warunkach cała obsada toruńskiego „Don Juana” stanęła na wysokości nielatwego zadania.

Bardzo strakcyjnym wolnomyślicielem był Marek Bargielowski, — bezkompromisowym, ironicznym intelektualistą, pełnym pasji polemiczniczej. Ogromne wrażenie robi jego końcowy, oskarżycielski monolog, kapitalnie też ustawiony przez reżysera (ten obchód dokola widowni, wejścia i

serowi „Orestes”, Andrzejowi Przybylskiemu jak gdyby zabrakło natchnienia czy wytrwałości w pracy z aktorami. Zagadką np. pozostaje dla mnie, co za zysk dała spektaklowi „konsultacja” przekładu Stefana Srebrnego, bo tekst mianierycznie wyciszano, a niektóre passusy zwyczajnie przepadły na skutek wadliwej dykcji. Utalentowany scenograf, Liliana Jankowska, ze swej strony przeliczyła się stawiając na skrajną prostotę, wymagającą przecie bardzo wybitnego aktorstwa. W sumie spektakl wypadł biado: nie miał ani antycznej grandezzy, ani nowoczesnej wielopłaszczyznowości, a sąd bogów nad Orestesem załatwiał, proszę mi wybaczyć — operetką.

Trzeba przyznać, że „Króla Ubu” wystawił teatr koszaliński bardzo starannie. Jest to dopiero trzecia w Polsce realizacja groteski Jarry’ego — po studenckiej „Stodole” i laikowej „Grotesce”, czyli właściwie prapremiera w polskim normalnym teatrze zawodowym. Dlaczego jednak nasze teatry „normalne” nie sięgnęły po tę pozycję wcześniej? Kto wie, może i dlatego, że kreska, jaką Alfred Jarry skarykaturował „stosunki międzynarodowe”, jest na dzisiejszą skomplikowaną rzeczywistość zbyt gruba.

Tę rozbrajająco naiwną parodię na despotyzm wyreżyserował dyr. Jerzy Wróblewski z kolosalnym nakładem dowcipnych pomysłów. Dotrzymał mu niewątpliwie kroku w inwencji Janusz Warszewski, zaprojektowawszy listny gaj z drabin i trapezów na użytek zespołu, który miał się popisywać matnią akrobacją. Wszystkie role wyodrębnione w programie zostały zagrane z przednią werwą (zwłaszcza rola Ubicy



Teatr im. W. Horzycy w Toruniu: „Don Juan” Mollera — Marek Bargielowski (Don Juan), Jerzy Siłwa (Don Luis) i Witold Tokarski (Sganarel). Fot. J. Gardzielewska

wyjścia przez kolejno otwierane z hałasem i zamykanie drzwi), Witold Tokarski może również zaliczyć sobie na plus zagraną inteligentnie rolę Sganarela, interpretowanego jako agresywnego głupca, tchórza i asekuranta, paradującego w miarę potrzeby z książeczką do nabożeństwa (może to być i książeczka maonisty). Z dowcipnie zastosowanym dysjansem aktorskim wykladał synowi swoje nauki Don Luis (Jerzy Siłwa), przezabawnie rozegrał scenę konieczną wśród sieć rybackich Andrzej Burzyński (Pietrek), Teresa Wierzbowska (Karolka) i Marta Woniak (Marcysia), satwy śmiechu wywoływała celna parodia ceremonialnej grzeczności hidalgów w wykonaniu Andrzeja Bogusza (Don Carlos) i Wojciecha Szostaka (Don Alonso)...

Na końcu jeszcze brawo dla reżysera za „uniuchomienie” Komandora, za zastąpienie go po prostu popiersiem, żywo nam coś nieco przypominającym. A już wręcz bravissimo za finał, w którym to nie zapadnia pochłania Don Juana, lecz grzebie go spadająca z góry płachta (do tego doszedł wyborny happening: wnieślenie na scenę festiwalowych koszy z kwiatami, które spotęgowały pozór świeżo przyklepanej mogiły).

Zatrzymałam się dłużej na „Don Juanie” Teatru im. Wilama Horzycy, ponieważ było to jedno z najciekawszych polskich przedstawień, jakie widziałam w ostatnim półroczu (niedawna krakowska sesja Klubu Krytyków Teatralnych, niestety, zawiadła — trafiliśmy do Krakowa w niefortunnym momencie). Spektakl toruński łączył nowoczesność z klarownością, co nieczęsto dzisiaj się zdarza.

Krzysztof Rościszewski wyreżyserował również udanie jedną z imprez towarzyszących XIII FTFP — „To się żyć nie może” — opartą na tekstach Różewicza, rzecz o zagrożeniu prostego, spokojnego współczesnego człowieka, o przemianę i samotność, bardzo subtelnie zagrana przez dwoje aktorów teatru toruńskiego: Barbarę Baryżewską i Zygmunta Sierakowskiego.

Natomiast reprezentacyjne przedstawienia Bałtyckiego Teatru Dramatycznego nie spełniły moich optymistycznych oczekiwań. Reży-

w wykonaniu Adeli Zgrzybłowskiej), w ogóle cała „zaloga” wykazała się dzięki Barbarze Fiejewskiej znakomitą sprawnością w ruchu scenicznym. Ale trudno, powiedzmy to otwarcie — o ile „Orestesja” usypiała monotonią, o tyle „Król Ubu” po paru senach zaczynał nudy nadmiarem wszelakich figielków i akcesoriów, swoją nieproporcjonalną do nikłej treści rozwiłknością.

Szczególne dobre aktorstwo zaprezentował teatr koszaliński raczej w przedstawieniu kameralnym, w „Pokojukach” Geneta, wyreżyserowanych przez Wojciecha Boratyńskiego. Na tle niepokalanie białego pokoju (scenografia Krystyny Husarskiej) metafora zła, którą są czarno odziane pokojówki, uzyskała wizualną wyrazistość, świetny pomysł.

Genet chciał, by jego perwersyjna „bajka” wzbudzała niesmak, „złe samopoczucie” na widowni. Nic z tego. Adela Zgrzybłowska (Pani), Ewa Nawrocka (Claire) i Barbara Martynowicz (Solange) stanowią tak idealne trio aktorskie, że ich gra daje widzom satysfakcję estetyczną, odsuwającą na dalszy plan metafizyczne refleksje o źle jako „bycie niebytu i niebycie bytu”. Gdy więc, po przeczytaniu wypowiedzi autora i Sartre’owych komentarzy, opadną nas wątpliwości co do zalet filozoficznych sztuki Geneta, pozostaniemy jednak mu wdzięczni za to, że deletonowaliśmy się nią niemal jak... „pièce bien faite” — no, proszę się nie obawiać — nie w tradycyjnym sensie, tylko w znaczeniu dramatu napisanego z prawdziwym wyczuciem sceny, czyli wykluczającego nudę.

Kilka rozblysków przedkanikularnych dane mi było jeszcze zaobserwować nieco później w Gdańsku, ale to wymaga osobnego omówienia.

LEKARSTWO NA BITOWY SZAL

Maciej Podgórski

KAZIMIERZ Dolny muzykował i hulał prawie przez całe cztery lipcowe dni, nie mówiąc już o lipcowych wieczorach i lipcowych północach. Nie ma w tym żadnej przesady. I ja tam byłem, młód... i tak dalej. Nie będzie też konwencjonalnej re-



Jadwiga Gadzała — warkocz wprawdzie sztuczny, ale za to głos szczero-słoty.

Fot. L. Leo

Jan Lohman

Na grób którego nie ma

Jurkowski P. który zginął tragiczną śmiercią w Górach Hindukuszu
Człowiek umiera Nic się nie zmienia Jego nie ma Jeden mniej Jakby nikt Szedł każdy w las pamiętam jak szliśmy walczyć ja miałem plecak. Ty miałeś plecak nie w Tobie z lasu pozostała cisza zieleni i szczytów biel gdy odjeżdżałeś na Hindukuszu Po samo słońce co jak dziewczyna a tu dziewczyna jak to słońce ży w niebieskich oczach Mickiewicz Golebie w rynku

Star grzmil — Trzymaj się Stary żegnaj Cześć w śniegu najczystszy spod samych chmur Tam gdzie nie będzie

zaden z nas Lawina lodu śniegu kamieni tych kilku tchórzów

i świat znów gładki jak pergamin i taki zimny jak żelazo

i jeszcze biel

i to już wszystko Człowiek umiera Nic się nie zmienia

Jego nie ma Jeden mniej Jakby nikt

Marek Obarski

Wstępujesz w las deszczu i swoje odbicie oglądasz w korze mgi

przy potoku Obrócona porastasz rdzą kory wyciągasz złote ręce w baszty galezi

klęcze na krzągankach twoich

Poznań

toryki w powiedzeniu, że cały Kazimierz od 1 do 4 lipca był tego-rocznym ogólnopolskim Festiwalem Kapel i Śpiewaków Ludowych. Organizatorzy bowiem srodcie w regulaminie ustanowili: Jury oceniać będzie nie tylko poziom artystyczny występów konkursowych, ale także wkład zespołów w tworzenie atmosfery festiwalu, sposób zachowania się uczestników, umiejętność organizowania koncertów na gorąco, na ulicach, w miejscu zakwaterowania i miejscach spotkań festiwalowych gości. Festiwal powinien stać się okazją do wspólnej zabawy uczestników i widzów. Jakże się i stał.

Można tylko spytać, jak wieloosobowe jury sprawdziło „sposób zachowania się uczestników” i co oni tam robili „na gorąco”? Chodzono za każdym z uczestników z osobna, czy za każdym zespołem, całe jury chodziło razem, czy każdy juror samotnie? Eh, te regulaminy! Ale to już drobiazg. Była bowiem „wspólna zabawa”. A że muzykantów było wielu, gości festiwalowych i turystów także, przeto zabawa była gęsta i gorąca, koncertów improwizowanych nie zaniedbano, choć deszcz popadywał gęsto i nieraz trzeba było przyszywać pod dachem hotelu PTTK albo i „Esterki” czy też w ogóle pod jakimś miejskim okapem. Imprez towarzyszących całe mrowie, jak choćby znakomity recital wielkiego Siemiona i obfite tarsi ludowe. Tak że wszystko było w porządku, jeśli nie liczyć fioletowo-żółto-krwistego befsztyka pod okiem jednego z lubelskich aktorów, przez gawiedź miejską napastowanego. A bo to jego wina?

Tak zwaną atmosferę imprezy mam więc z głowy. Teraz można by pomyśleć — co o samym festiwalu, czwartym już z kolei, a trzecim, któremu towarzyszyło. Ze bez wątpienia sprzyja krzewieniu oraz inspiruje itd.? Fakt znany i opisany. Ze sprawna organizacja? Ano rzeczywiście sprawna, chociaż pośród wielu starych znajomych zabrakło mi miejskiej kapeli podwórkowej Stefana Dwojaka z Bychawy. Jak się dowiaduję od opiekunów kapeli z PDK Bychawa, podobno organizatorom za bardzo nie była potrzebna, bo i tak nie miałyby konkurencji, co, oczywiście, nie jest żadnym uzasadnieniem. Jeśli faktycznie tak argumentowano, to można by ten kamyczek wrzucić do ogrodu organizatorów. Ci z kolei twierdzą, że Dwojak za bardzo nie chciał przyjechać. Więc jak w końcu? W każdym razie kamyczek ów można by przede wszystkim rzucić na działkę rozmaitych powiatowych opiekunów folkloru. Czyżby w całej Polsce obok kapeli Dwojaka istniał tylko zespół z ul. Chmielnej?

Co więc było na tym festiwalu, a przede wszystkim co nowego? Narzekać nie można. Wielki urodzaj na doskonale wokalistki, zresztą najwięcej uhonorowane przez jury. Jedną tylko wymienię, nawet nie nagrodzoną, a jedynie wyróżnioną. Jadwiga Gadzała z Wianów Góry. Młoda, dorodna brunetka, potężny warkocz, wprawdzie sztuczny, ale za to głos szczero-słoty, ciągle o wianku dzielnie śpiewała.

Lecz prawdziwym, choć może nie tak głośnym, objawieniem koncertów konkursowych był cymbaliści. Jak na tradycje festiwalowe, cymbaliści było wielu. Nagrodzono Feliksa Wojnarowicza z Jasła oraz Bronisława Holubowskiego z Braniewa. Grają od dzieciennych lat. Obaj teraz starsi, skromni panowie. Ta umiejętność chyba u nas zanika, młodzi jakoś się nie garną, a instrumenty raczej unikalne. W ogóle cała ta impreza jest także — o czym nie wolno zapominać — przeglądem starych, a w każdym razie dość niezwykłych, instrumentów. Czego tu nie było? Więc cymbały, trzystrunowa basetla z XIX wieku (w kapeli Kola Gospodyń Wlejskich z Gródzka), skrzypce diabelskie (grał na nich 18-letni Zenon Pyszka z kapeli „Kaszuby”), harmonia deptana (w kapeli ze Zdunkowa)... Na czym tu nie grano? Na listku bżowym, na słonce (i to jak tego)...

Trzeba wreszcie powiedzieć i to, że coraz więcej młodzieży w składzie kapel i pośród solistów, choć ten najbardziej autentyczny folklor — rzecz zrozumiałą — jest domeną starszych, dla których owe melodie „pośród wesela chowane” stanowią naturalną otoczkę kulturową. Młodzi inaczej. Dla nich to przede wszystkim sprawa jak najdokładniejszego wyuczenia się i zapamiętania folkloru muzycznego, który wynieśli z chaty rodzinnej, aczkolwiek należą już do innej kulturowo-generacji. Przejedźniają na festiwal, by jakoby zabłysnąć, wybić się w szerszy



„Cymbalowa muzyka” z Olomuńca

Fot. J. Magiera

świat, bo i tak na roli często już nie pracują. Moim zdaniem — są to zdrowe ambicje. Swego rodzaju antidotum na bitowy szal.

Trzeba tylko tymi umiejętnościami właściwie pokierować, fachową opieką otoczyć. Zresztą dotyczy to wszystkich wykonawców, nie wiadomo nawet, czy nie odnosi się bardziej do starszych. Sprawy niby banalne. Lecz od trzech lat dowiaduję się od uczestników festiwalu, że z tą opieką rozmaito bywa.

Drobny przykład. W regulaminie imprezy pięknie napisano: Organizatorzy sądzą, że strój ludowy przysporzy kapelom barwy milej oku, a także wzbogaci piękno muzyki. Same dobre racje. Jakże tu bowiem śpiewać w garniturku taki choćby tekst:

Jakiem się zaliciał, smażone, pieczone. Jakiem się ożenił, to nie posolone. Jakiem się zaliciał, mówili mi: panie. Jakiem się ożenił: Do roboty, chamiel!

Więc teraz ten przykład. Rozmawiam ze Stefanem Wyczyńskim z Lubczy (i miejsce w kategorii solistów-wokalistów), członkiem lubeckiej kapeli (i miejsce w kategorii kapel autentycznych). Wszyscy prowadzą własne gospodarstwa. Muzykują z amatorską. Zespół z tradycjami, liczne nagrody na rozmaitych festiwalach i przeglądach folklorystycznych. Nie jest łatwo godzić robotę w gospodarce z pracą w zespole. „Często musimy wykradać muzykantów z domu, koniycyna na polu zostaje” — powiada Wyczyński. Miarą zainteresowania zespołem miejscowych opiekunów folkloru niech będzie fakt, że już trzy lata temu brano muzykom miarę na buty i — jak dotąd — butów nie ma, a raczej, owszem, są: każdy członek kapeli ma inne, wszystkie nie pasujące do stroju. Jeden — czarne, drugi — czerwone, jeden — dłuższe, drugi — krótsze, a jeszcze inny — po prostu „cywilne” pantofle („jestem boso” — powiada). Przypominam: Organizatorzy sądzą, że strój ludowy przysporzy kapelom... itd. Nawet nie wiem, kogo w tym konkretnym przypadku winić: PDK w Pęczowie, GRN w Lubczy, bo nie sprawdzalem na miejscu, a opisuję tylko, co zobaczyłem w Kazimierzu. Oczywiście, nie wszędzie tak jest z tą „opieką”, ale jest tak jeszcze ciągle za często.

Może sytuacja ta ulegnie niebawem jakiejś zmianie — na lepsze. Albowiem na posiedzeniu w Kazimierzu dnia 1 lipca anno domini 1971 Zarząd Główny Stowarzyszenia Twórców Ludowych postanowił to, co — pozwolę sobie być nieskromny — już rok temu omieliłem się na tych łamach postulować. Ze miłośnikami, wybijający się muzycy ludowi będą przyjmowani w poczet członków STL, z czym wiąże się pewne ułatwienia i pewna pomoc.

Lecz wróćmy do samego festiwalu. Prócz kapel polskich muzykowały tu — poza konkursem — dwa znakomite zespoły zagraniczne: z Brzeźcia i Olomuńca. Szczególnie ten ostatni ujął moje serce, może

dlatego, że znów idzie o... cymbały, wiodący instrument w kapeli, która w całości zwie się „Cymbalowa muzyka”. Bez durnych skojarzeń! To doprawdy świetny zespół, działający przy klubie zakładowym „Sigm” w Olomuńcu. Szlagierem Kazimierza stała się piosenka w ich wykonaniu pt. „Chojaczki”. W repertuarze mają pieśni ludowe i tańce z pogranicza morawsko-słowackiego.

Wspomniałem o zespołach zagranicznych nie tylko dlatego, że to novum kazimierskiej imprezy, lecz również i dlatego, iż to znak, nie pierwszy zresztą, rozrastania się festiwalu. I tak powinno być. Co jednak się stanie, gdy organizatorom przyjdzie do głowy weale nie najgorzej pomysł, żeby w przyszłości zaprosić więcej kapel zagranicznych, może zorganizować dla nich jakiś odrębny konkurs? Oczywiście trzeba by wtedy poszerzyć również grono współorganizatorów. Coś tu się chyba jednak święci, skoro tegoroczny festiwal obserwowała delegacja litewskiego Towarzystwa Twórczości Ludowej.



Kapela ze Zdunkowa — unikalna harmonia deptana.

Fot. L. Leo

Jeśli moje przypuszczenia, czy już może nawet obiektywne perspektywy, staną się kiedyś realne, jeśli zresztą festiwal będzie rozrastał się tylko mocą swej inspirującej roli wobec rodzimych muzyków ludowych, jeśli przeto jakkolwiek z tych możliwości faktycznie zaistnieje — czy wówczas Kazimierz to „wytrzyma” z posiadaną bazą noclegową, gastronomiczną, lokalowo-widowiskową itd?

Ktoś może powiedzieć, że pytanie postawione jest na głowie. Miasto nie żyje dla festiwalu, miasto żyje dla swoich mieszkańców, którzy tu pracują i mają rodziny. Kazimierz dodatkowo żyje, a w każdym razie powinien żyć, dla turystyki. Zapytam wobec tego nieco inaczej. Jak wiele dobrego może stać się dla miasta, gdy ono należycie

przyjmie dobry festiwal (przykłady — Kołobrzeg, Opole)? Jak wiele dobrego może dać dobry festiwal turystyce?

Może więc rozrastanie się kazimierskiego festiwalu będzie stanowiło jeszcze jeden argument dla radykalnego rozwiązania kłopotów, z jakimi boryka się MRN w Kazimierzu i jakich sama nie jest w stanie rozwiązać? Bo przecież istniejące pogłoski o konieczności przeniesienia festiwalu do powiatowych Puław należy uznać za pomysł kosztowny. Czym by stał się ten festiwal bez swego dotychczasowego ooczenia? Nie tędy droga.

Rozmawiałem z Janem Duerem, przewodniczącym Miejskiej Rady Narodowej w Kazimierzu oraz z jej wiceprzewodniczącym, Józefem Tuńnikiem. Być może, obraz mam nieco jednostronny, są jednak sprawy ewidentne. Zaczniemy od kwestii niby drobnej, która jednak świetnie pokazuje, jak sprawy miejskie i festiwalowe się wiążą. Oto kapele przywożą ze sobą rozmaite cenne eksponaty stroju i twórczości ludowej, które ofiarowują organizatorom festiwalu. Myślano o stworzeniu izby pamiątek w Kazimierzu. Miała być nawet w tym roku otwarta w sali liceum. Jakoś się to rozmyło. Część eksponatów podobno znajduje się w Puławach pod opieką Wydziału Kultury PWRN, część ponoć w muzeum na Zamku w Lublinie. Inni twierdzą, że całość przekazano liceum. A ja się przede wszystkim pytam, dlaczego w ogóle pomyślano o salce liceum, a nie o muzeum w Kazimierzu? Do tego jednak trzeba, żeby Muzeum Okręgowe opracowało profil kazimierskiej placówki, co tu dużo kryć, mimo rozsądnych wysiłków jej obecnego dyrektora, Bohdana Zadury, kulejącej. Takiego profilu w terminie nie opracowano.

Pytań nasuwa się sporo. Gdzie stała widowiskowa dla miasta (jak zaczyna padać deszcz, festiwal przenosi się znów do... liceum)? Jeśli turystyka, a przecież uczestnicy i goście festiwalu także istnieją poniekąd na zasadzie turystów, to gdzie jakaś, choćby na niewielką skalę, produkcja pamiątek poza kogutami z bulżanego ciasta? Jak tu rozsądnie zarządzać handlem i gastronomią, skoro znajdują się one aż w czterech rełach (m. in. MHD-Puławy i Lublin — LZG „Śródmieście”)? Tak można by pytania nizać, ale dalsze zaprowadziłyby nas, być może, ku kwestiom, gdzie raczej nie rozkładają się już tak jasno.

I jeszcze na koniec jeden paradoks. Jeśli Kazimierz chce godnie podejtnować wieś u siebie pod postacią coraz bardziej rozrastającego się festiwalu, to musi wieś od siebie... oderwać. Mam na myśli owe osiem typowo produkcyjnych wiosek, przyczepionych do miejskiego organizmu Kazimierza jako „przedmieścia”. Bo słusznie chyba stwierdził przewodniczący MRN: „Nie wiadomo, czym rada ma żyć, nawozami czy turystyką, jak budżet dzielić?” A pamiętajmy, że po odłączeniu wiejskich powińności z tego budżetu mogłoby się więcej wykrócić także i dla festiwalu.

Ziemia i Pieśń

Rok VII

Sierpień 1971

Nr 20

Walenty Jarecki

Śpiewam wieś swoją

Wielki poeta pól i zieleni
 śpiewam wieś swoją strofami wierszy
 I sławię piękno ojczyźnej ziemi,
 Warkot traktorów, muzykę świerszczy.
 Śpiewam wieś swoją, pola i łąki,
 Zieleni i rosę, wiosnę i lato,
 Dom, w którym mieszkam, na drzewach pąki,
 Promienie słońca, noc i światło
 Śpiewam wieś swoją, trud chłopskiej ręki,
 Twardej od pluga, widel i kosa.
 Troski, zwycięstwa, pracę, udreki
 I blaskiem szczęścia błyszczące oczy
 Ze słów jak kwiaty, jak kłosa złote,
 chłopskiej poezji wianek uwiję
 I perły potu z czoła woń wplotę,
 Sny i nadzieje swoje i czyjeś.

Staw, pow. Wieluń



JESZCZE trzydzieści kilka lat temu ich wiersze konfiskowała sanacyjna cenzura, zamiast honorariów płacąc represjami, a nawet więzieniem. Jeszcze dziś z głębokim wzruszeniem słuchamy jakże żywych pieśni i wierszy partyzanckich, które zagrzewały umęczony naród do walki o zwycięstwo. Narodziny PRL miały jednakże nie tylko zliczyć marzenia twórców spod strzechy, ale równocześnie stać się — według niektórych — zwiastunem nieuchronnego końca literatury ludowej. Bo i o co mieli walczyć poeci, skoro ideały ich zostały wielone w życie?

Stało się inaczej. Nie po raz pierwszy i chyba nie ostatni krytyka wydała sąd, któremu klam zadawało życie. Literatura ludowa w nowych warunkach nie tylko nie zginęła, ale znalazła wyjątkowe warunki do dynamicznego rozwoju. No bo jakże nie wykorzystać szans, jakie dała władza ludowa? Jak nie uczyć się, nie podnosić kultury i nie pisać, kiedy „nowe” wdziera się na wieś ze wszystkich stron?

Właśnie ten upór, wzrastająca świadomość siły, wiara w to, że jest w poezji chłopskiej coś więcej, niż „niewolnicze naśladowanie Konopnickiej”, że chłop ma ręce nie tylko do widel i pluga — kazaly im i każą tworzyć nadal, coraz więcej i lepiej. Samorodni twórcy od dawna dążyli do zorganizowania się i celu swego dopieł. W 1965 roku powstał Międzywojewódzki Klub Pisarzy Ludowych, który stał się zaledwie ogarniającego już dziś swą działalnością cały kraj Stowarzyszenia Twórców Ludowych.

Można chyba i warto zapytać, kim właściwie są współcześni pisarze ludowi? Jak przedstawia się sprawa ich wieku, wykształcenia, aktywności społecznej? Trudno w kilku zdaniach dać wyczerpującą odpowiedź, trzeba jednak przynajmniej zasygnalizować kilka nader istotnych zjawisk. Pierwsze — to wyjątkowo duże zróżnicowanie wieku. Owszem, poważny odsetek stanowią twórcy, którzy przekroczyli 60 rok życia, ale budujące jest to, że (może wprawdzie nie w każdym regionie) znajdują godnych siebie następców. A więc Podhale to już nie tylko Hanka Nowobieliska czy Adam Pach lub Andrzej Skupień-Florek, ale także Wanda Kościelniak-Czubernatowa, Helena Waligóra, Józef Para i inni; Lubelszczyzna oprócz Pauliny Holyzowej, Bronisława Pietraka czy Władysława Kuchty ma silne zaplecze w Józefie Małku, Marianie Karczmarczyku itd.

Nie inaczej wygląda sprawa gwar. To fakt, że najchętniej postępują się nią górale i Kaszubi, nie brak jednak — i to wśród młodych twórców — jej zwolenników w różnych stronach Polski. Wiersz regularny obok białego można też spotkać nawet w dorobku jednego poety, literatura chłopska nie chce bowiem być anachroniczna. Nowym trendom najlepiej przeciwieć odpowiadają nowe formy. I jeszcze jedno: zarówno starzy jak i młodzi, tych, którzy mają poważny dorobek i tych, którzy stawiają dopiero pierwsze kroki, łączą głębokie zaangażowanie. To są pisarze, dla

których nie istnieje pojęcie „sztuka dla sztuki”. Swoją twórczość traktują jako przedłużenie pracy na roli i działalności społecznej, stąd tyle w ich utworach pasji, szczerości, prostoty i — przede wszystkim — żarliwej miłości do ziemi ojczyźnej.

Jan Pociąg modli się do ojczyzny i prosi: *przytul nas przytul serdecznie do serca, Seweryn Skulski* pyta po prostu: *jakże cię, Polsko, nie kochać?!*, zaś Stanisław Buczyński pisze: *ojczyzna to — orzycy plug i miłość wielka jak morze*. Z wierszy ludowych poetów przebiega nie tylko ukochanie ojczyzny, zwłaszcza rodzinnej wioski, ale również i duma z tego, że są rolnikami, że ich kraj ma tak ogromne osiągnięcia. Cieszy się więc Henryk Biłka, bo nie musi, jak jego pradziad, orać sochą pola dziedzica, bo traktor orze dziś jego lany. Raduje się też Waldemar Strzelczyk z tego, że *dzieci przed telewizorami oglądają baśnie o chłopach, co poszli w pole kosić*, Walenty Jarecki nakazuje natomiast *śpiewać wieś swoją strofami wierszy*, opisywać każdy nowy szczegół zachodzących przemian, po prostu pisać poetycką kronikę naszych czasów.

Poeci zdają sobie sprawę z tego, że czasem ich wiersze są niezbyt udolne, proszą jednak o wybaczenie wszelkich błędów, ponieważ twórczość ich rodzi się nie z głębokiej wiedzy, ale z serca, o czym tak pisze Bronisław Pietrak:

Chcę w swoim wierszu
 wszystko dać,
 To, co się z serca daje,
 Opisać piękno polskiej wsi,
 Jej życie i zwyczaj.

Zdają też sobie twórcy sprawę z tego, że podstawowym obowiązkiem jest praca, tak jak mówi o tym Melania Burzyńska:

Mnie trzeba pisać
 stałą narzędzi rolniczych
 na szorstkim czarnym
 papierze
 ziemi
 wiersz
 szarej pracy.

Chcą dać czytelnikowi to wszystko, co — ich zdaniem — jest najlepsze: *trochę dobroci, uśmiechu dziecka i tego szczęścia z kwiatu paproci* (M. Kozaczekowa).

Miłość do Polski, codzienna ciężka praca i piękne jej efekty sprawiły, że ludowi poeci widzą wyraźnie *promieniujący na naszej ziemi socjalizm* (M. Karczmarczyk). W jego obronie, w obronie dotychczasowych zdobyczy i pokoju gotowi są oddać wszystko i świadomi swojej mocy, pewni przyszłości Polski, przysięgają trzymać straż nad Odrą Płastów, wierząc, jak pisze Seweryn Skulski, że:

Już barbarzyńca nie znajdzie
 dróg
 Do siedzib naszych — brzmiał
 chorał.
 Dla naszych dzieci tu polski
 plug
 Wciąż będzie ziemię orał.

Wykorzystując fakt, że kolejna nasza władza, dwudziesta już w okresie sześciu lat, ukazuje się bezpośrednio po rocznicy Manifestu PKWN, a miesiąc przed dożynkami — obok zamieszczamy wiersze do tych właśnie faktów nawiązujące.

Roman Rosiak



Dożynki w Siemnicy Różanej.

Fot. J. Huzar (CAF)

Ignacy Antosz

Syn ziemi

Ja, z urodzenia wierny syn ziemi,
 od wczesnej wiosny, tajnym przymierzem
 z ziemią najświętszą, orką, siewem
 trwam niestrudzenie: do jesieni.
 Gdy tak przez miedzę, pod pochodnią
 słonecznej wiechy — idę, śpiewam,
 szumnym strumykiem, dzwonnym echem
 liczę godziny w drzew powiewach.
 Rozkwitam w zytach, polnym kwiatem,
 w osikach liściem drzę niespokojnym
 w bogatym odcieniu lata,
 u wrót jesieni idę wolniej.
 Kołaczę do serc: siostr mych i braci,
 gdy znoszą obrzęd w naczyniach ciszy
 zbioru owoców, ziarn i korzeni
 na wielki toast u wielkiej misy,
 gdzie przyjdą słabi i pokrzywdzeni.

Kotomierz, pow. Bydgoszcz

Bronisław Dryja

Bukowiecka ziemi

Gdy zaszleszczą wieraby i brzozy,
 Gdy się zagony kwiatem odzieją,
 Lecą o świecie pod skrzydła zorzy
 Z uśmiechem w ustach, w oczach z nadzieją,
 Za moją chatą piachy się złocą,
 Za moją chatą szumią topole,
 Nad moją strzechą gwiazdy migocą —
 To bukowieckie rozgwarza pole.
 Las się kołysze — pachnie z oddali,
 Wiatr kłosa trąca, wśród liści dzwoni,
 Gdzieś fujarkowa piosnka się żali,
 Gdy bukowieckie niebo ży roni.
 Ziemię rodzinną! Ziemię płaczącą!
 Kręta ścieżką błęknę w twe pola,
 By w usta nabrać chleba i słońca,
 O bukowiecka ziemi pachole.
 Rozbrzmiewa piosnka prosta, uboga,
 Krąży po wiosce niezapomniana:
 „Z Bukowcam bodnas tego mo głowa,
 Mnie Bukowianka kocho rumiana”.

Bukowiec, pow. Kolbuszowa

Franciszek Łojas

Lato śniegiem przysute

Kie staniesz nogom w lipcu w gorskich źlebak
 i pozres ze scytów w doliny,
 co grubom płasniom przyodziołe śniega
 gotowe zmienić się w lawiny.
 Na Giewoncie krzyż w słońcu się iskrzy,
 lodem zakuty jak w luptowakie kajdany,
 tom złość natury obejść my przysali
 i powiedzieć: na co nos tak ziemias Boze nas
 kochany.

W okropnym uśmiechu Mnik scyrzy zemby,
 historie roków na sobie wygrywo
 i tulol skole na scytów sosremby
 casu rzeźbiela go sieła strasliwo.

Poronin

Emilia Michalska

Śląski chłop

Choć się światem gonią burze,
 chociaż gromy huczą w chmurze,
 on zarty, on uparty,
 na swej ziemi, między swymi
 stoi, jakby wrósł.
 I skroś wichrów, skroś zamieci
 trwa niezłomnie od stuleci,
 z parą koni, z plugiem w dłoni,
 pracowity, niespożyty,
 wszelką krzywdę zniósł.
 Dla twej chwały, Polsko miła,
 boś mu zawsze matką była,
 ukochaną, wygładaną,
 biczoną, krzyżowaną,
 przez drapieżną dłoń.
 Dziś szczęśliwy niepomiernie,
 bo wyrwany chwast i ciernie,
 przeszły burze, słońko w górze
 niebo krasni, biało-ptasi
 herb podniósł swą skroń.
 Tak trwał będzie bez wytchnienia
 poprzez długie pokolenia
 z parą koni, z plugiem w dłoni
 tobie, ziemi! tobie, Polsko!
 wierny śląski chłop.

Pruchna, pow. Cieszyń

Stanisław Klimas

Poranek

Wielki ranek do pól przywarł
 i rozgwarzył się zniwami,
 słońce rosą upojone
 zawisło nad zagonami.
 Jarzą się zniwiarzy twarze,
 szumi pieśń pod skwarnym niebem,
 grają żniwne agregaty,
 lany pachną świętym chlebem.
 Rosną kręgiem mendle, kopy,
 skrzyplą wozy, stal kos błyska,
 chrzęszczą w dloniach złote snopy,
 smutkiem płoną plowe rżyska.
 Czas przetapia się na złoto,
 nawalem tworzących rąk
 krzepnie wiecznie młode jutro,
 dzisiejsze odpływa stąd.

Włocławek

Kamena str. 1

Zuzanna Spasówka Huragan

Zasepiło się niebo chmurami — szaro jak przed nadejściem nocy. Zanurzyły się kwiaty w morzu trawy, ku niebu patrzą wystraszone oczy. Zaatakował wiatr drzewa w sadzie, wily się jak w boleści. Trzęsły ze strachu liście, gałęziami, a piach zebrany na szerokiej drodze walił przed siebie pyłu tumanami.

Józef Małek Jesień

Jesień zastygła w brzoje i zieleni słwieje porankami ustala w dojrzałości wyrzuca z siebie wiośnię lato soczysty owoc kobiecych doświadczeń w zmarszczkach chmur pęcznią lzy bezpłodności mroźna i święta starość

Alfreda Magdziak Zabiorę niebu gwiazdę

Pozbieram wszystkie gwiazdy Rozsypane na niebie W zapasce kretonową I pełnymi garściami Tam, gdzie tylko zechcę, Rozsieję je na nowo. Rozdam wiosnowym dzieciom, Które bawią się w kurzu, Jak w złotej, ruchomej mgłę. Pełną garść podaruję Zmęczonej gospodyni W jej ciężkim i pustym śnie. Wyściele nimi drogi Błotniste z wybojami W zagubionych osadach. Po jednej też położę Na zrobionych gumiakach Głębokich, chłopackich śladach. Najwięcej chyba rzucę Na szare skiby pola Po jesiennej już orce I po kilka zawieszę Nad drzewiami każdej chaty. Resztę zostawię łące. Niech błyszczy w jesienny czas, Gdy kwiaty już się zmieniają W pachnące stogi siana. Zabiorę niebu gwiazdy, Co do jednej pozbieram I wszystkie rozdam sama.

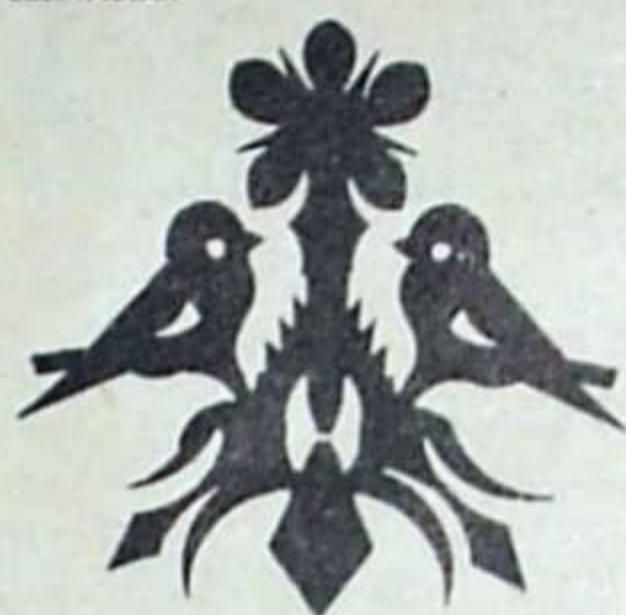
Marian Karczmarczyk Władysław Sitkowski Mój protest tym, Mój wiersz którzy prowadzą wojny

Z głębi serca wyrzucić chcę protest, niech uderzy w was mocą pioruna, nie częściecie narodów bombami, by wygasła wojenna łuna! Niech lzy wyciąnięte żalem nie gaszą uśmiechu starszych i dzieci! Kneblem kul ust milionów nie zamkniecie! Sparzą was cudze nieszczęścia, w nagrodę hańba czeka. Strzelając do innych — zabijacie w sobie człowieka.

Gdy się noc gwiazdami koci, gdy w kominie zagra świerszcz, wtedy z ciszy najcichszej nocy rodzi się mój wiersz. Rano kwili niemowlęciem, ja pieluszkę dam mu z ros i przyorzę czarną skibą potem on — wystrzela w kłos.

Sabina Derkaczewska Jesienna rozłąka

Zegnajcie mi łąki zielone ginące gdzieś w sieni dali, gdzie rankiem jasnym, bezchmurnym złota jutrzienka się pali. Gdzie nocą księżyc czarownik przyrządza czerwone wino i sączy je kroplą po kropki, nad ziemią uśpioną płynąc. Gdzie w bujnej, zielonej fali kropelki rosy wiatr huśta i wlewa pachnące wino w kwiatów spragnione usta. O łąki, łąki zielone, ścielecie pod stopy aksamit, zbliźcie się słońca jesienna, więc trzeba potęgnać się z wami. I w sercu głęboko ukryć tęsknoty krwawiącą ranę, byście ją mogły uleczyć wiosną — swej ciszy balsamem.



Wycinanka Bronisława Pietraka

Staraniem Lubelskiego Oddziału Stowarzyszenia Twórców Ludowych zorganizowane zostało 23 maja w Zamościu seminarium poświęcone literaturze ludowej. Po referacie doc. dra Michała Lesiowa i dra Romana Rosiaka oraz dyskusji przeprowadzono turniej jednego wiersza z nagrodami pieniężnymi, ufundowanymi przez Zarząd Główny STL. Jury w składzie: Jan Głowka — przewodniczący, oraz Bernard Borowski, Michał Lesiów, Roman Rosiak i Stanisław Weremczuk — członkowie, przyznało następujące nagrody:
I — Zuzanna Spasówka z Połoga, pow. Puławy; II — ex aequo Józefowi Małkowi z Bogosławia, pow. Białobrzegi i Anieli Stańczak z kol. Uher, pow. Chełm; III — ex aequo Sabine Derkaczewskiej z Zagrody, pow. Krasnostaw, Marianowi Karczmarczykowi z Komarowa, pow. Zamość, Alfredzie Magdziak z Sitarcz, pow. Zamość i Władysławowi Sitkowskiemu ze Zwierzynca, pow. Zamość.
Część wierszy laureatów turnieju zamieszczamy wyżej.

Pisarz Warmii i Mazur

Szumią lasy, błyszczą wody,
Płynie ludowa płynnie,
Ileż piękna i urodziwa
W mazurskiej krasie.
T. Ruczyński

NAZWISKO nestora pisarzy Warmii i Mazur, Teofila Ruczyńskiego, zasłużonego nie tylko na niwie literackiej, ale również w walce o utrwalenie polskości tego regionu, jest tak znane, iż zenujące byłoby przytaczanie danych biograficznych poety, wymienianie jego licznych publikacji, nagród, odznaczeń itp. Wystarczy chyba tylko przypomnieć, że już w 1952 roku — jako jeden z nielicznych twórców samorodnych — został przyjęty w poczet członków Związku Literatów Polskich, co najwymowniej świadczy o wysokiej randze ideowo-artystycznej jego dorobku, na który złożyły się setki wierszy, opowiadań i artykułów. Jest jednak fakt, który powoduje, że trzeba przypomnieć jego nazwisko. 1 lipca minęła 75 rocznica urodzin poety, poprzedzona zaledwie kilka miesięcy temu 50-leciem debiutu.

Dorobek jubilat jest tak bogaty, że po prostu jest rzecz niemożliwą w krótkim szkicu nawet zasymulować wszystkie zasadnicze wartości jego utworów, tak nierozdzielnie związanych z dziejami Warmii i Mazur. Jakże trwałe i serdeczne był i jest związek twórcy z tym bastionem polskości. Miłość Ruczyńskiego do ziemi ojców kazala mu tworzyć piękne strofy o Warmii, od ówczesnego wieku dedykowane już współczesnym czasom, które na zawsze przywróciły ten region Maclerzy.

Zyjąc teraźniejszością i pragnąc służyć przyszłości, Ruczyński wiele miejsca poświęca historii, ukazując wielowiekową walkę tego ludu o to, by nawet w najtrudniejszym okresie dziejów nie wyrzec się polskości. Stąd tak dużo u niego wierszy mówiących o dniach klęski i chwały Warmii i Mazur (np.: „Grunwaldzki dzień”, „Ziemia Mazurska”, „Mazurskie krakowiaki”, „Hej, walc nasz Orle Białe”, „Mikolajowi Kopernikowi” i wiele innych).

Godne szczególnego podkreślenia jest to, że poeta zawsze traktował i traktuje swój region jako część Polski, dlatego też nie mógł się ograniczać wyłącznie do ukazywania dziejów Warmii i Mazur, po prostu widział je w kontekście historii całego narodu. Stąd duża ilość wierszy przypominających dawne bitwy, wydarzenia historyczne i — rzecz zrozumiała — przede wszystkim II wojnę światową (np.:

„Westerplatte”, „Żołnierz bez broni”, „Warszawiankom cześć”, „Na Pawiaku”, „Żelazna krata”, „Narwik”, „Hitler w Paryżu”, „Oświęcim”, „Dywizjon 303”, „Aż do Wołgi”, „Wolna Warszawa”, „W Berlinie”, „Nad Łyną, Odrą i Nysą” i in.). W ten sposób wiersze Ruczyńskiego — obok niezaprzeczalnych wartości artystycznych — stają się swoistym dokumentem, literacką kroniką Warmii i Mazur na tle losów Polski.

Trzeba wyraźnie podkreślić, że podejmując tak rozległą tematykę poeta nie zapomina, że jest twórcą ludowym, kontynuatorem dzieła Michała Kajki. Pisze więc o wielkich sprawach prosto, wierszem potoczystym, melodyjnym. Wszystko jest tu typowo ludowe: szczerze uczucie, miłość do ziemi, zachwyt nad pięknem krajobrazu wsi o każdej porze roku, pieśń pastusze, pochwała trudu rolnika (np.: „Fujarka”, „Powrócił skowronek”, „Hej, wy chlebne pola”, „Chłopskie kosy”, „Ziemia jest hojna”, „Jakże cię nie kochać”, „Piękne są Mazury” i in.).

Obok liryki społecznej, obok wierszy utrzymanych w tonie powagi, pisanych też często w formie hymnów, nie brak w twórczości Ruczyńskiego utworów satyrycznych oraz erotyków. W ślad za tą różnorodnością tematyczną i formalną idzie bogactwo środków artystycznego wyrazu. Poeta pełną garścią czerpie wzory wypróbowane już przed nim przez klasyków literatury ludowej, nie waha się też sięgać po wyrażenia gwarowe w celu oddania właściwego klimatu. W ciągu 50 lat wyjątkowej pracy literackiej dorobił się imponującego warsztatu poetyckiego.

Równie bogata jest jego działalność społeczna i kulturalno-oświatowa: walka z germanizacją, organizowanie szkół po wyzwoleniu, kierowanie prac kursów repolonizacyjnych, wreszcie badania nad dziejami regionu, zbieranie folkloru — ze szczególnym uwzględnieniem okolic Lubawy i Ostródy. Liczne spotkania autorskie itd.

Mimo podeszłego wieku i przejścia w 1954 roku na rentę inwalidzką, poeta wszystkie swe siły nadal poświęca regionowi, z którym związał na zawsze swe życie.

Dzisiaj, gdy jubilat, aktualnie jeden z najstarszych członków Stowarzyszenia Twórców Ludowych, obchodzi swe diamentowe gody — wypadła mu tylko żyć, by przez dalsze długie lata życia mógł jeszcze bardziej pomnożyć dorobek literacki — cenny wkład do kultury narodowej, jak też doczekał się w jak najbliższym czasie samodzielnego tomu poezji, na który czekają miłośnicy jego talentu.



Krakowska kwiatarka — rzeźba Feliksa Czajkowskiego z Zelczana. Fot. Lewicki (CAF)

JAN POCEK

KAZDA śmierć jest ciosem, szczególnie dla rodziny. Im więcej osób opuścił zmarły, tym większy pozostawił po sobie żal. A przecież Jan Pócek nie ostrocił tylko swoich najbliższych, lecz również setki, a może i tysiące kolegów po piórze. Jeśli już liczyć twórców spod strzechy na setki i tysiące, to jakimi operować lezbami, gdy chodzi o odbiorców ich twórczości?

Jan Pócek nigdy nie należał do tych, którzy lubili się kłaniać możnym i zabiegać o ich łaski. Jeszcze przed rokiem 1939 pisał: W ojczyźnie, w której się najadłem bólu, jak koń słana, W ojczyźnie, w której napilem się męki, jak krowa wody z kalwii.

Już nigdy, przed nikim nie padnę z trwożą na kolana I nie będę, jak pies, niewolniczo nikomu służył... Była to typowa droga ludowego twórcy — od wzrostu świadomości do protestu. Okupacja pozwoliła mu zrozumieć, że pióro jest dane poecie nie tylko po to, aby przelewać na papier swoje osobiste przeżycia, ale i zaprzęgać mu do walki o wolną Polskę. Zarówno działalność poety (bliskiego współpracownika Stefana Rodaka ps. „Rola”), zasłużonego żołnierza BCh, jak i jego twórczość poetycka z lat okupacji (warto podkreślić, że Pócek współpracował z konspiracyjnym piśmie wydawanym na terenie pow. puławskiego pt. „Orle Cioły”) potwierdzają, że umiał w każdej chwili zamienić słowa na czyn.

Wolność nie zaskoczyła Pocka, właśnie o taką Polskę walczył, służył jej więc tak, jak tylko potrafił. Pamiętamy te lata i może czasami żujemy się na to, że spod pióra tego czy innego poety wyszedł wiersz może nawet i poprawny formalnie, ale sztuczny jeśli chodzi o warstwę emocjonalną. Pócek zawsze pozostawał sobą. Trudno byłoby znaleźć w jego dorobku wiersze o charakterze okolicznościowym, w których składałby kemuś hold. Byłoby to sprzeczne z jego przekonaniem, bo u Pocka Polska — to lud.

Czuł się zawsze chłopcem i z dumą podkreślał na każdym kroku swoją przynależność, wzywając:

Musimy swoją Ojczyznę pachnącą różami i chlebem wpród nakryć własnym sercem, jak gdyby drugim niebem... Nie jednak nie potrafiło mu być bliższe niż rodzinna Ziemia Lubelska, ziemia, o której nawet Stefan Żeromski mówił, że jest to „krajobraz najpiękniejszy pod słońcem”. Zastuchany w muzykę świerszczy, śpiew skowronków, szum młodocajnych lip i akacji, umiał wyczuć z każdego liścia czy kwiatu, niewzruszony w promieniu słońca to, co nie jest dane wszystkim ludziom. Jego miłość do ziemi kazala mu widzieć piękno wszędzie tam, gdzie dla przeciętnego człowieka jest ono trudne do zauważenia.

Z jego wierszy bez trudu można opracować antologię, która ukaże krajobraz wsi lubelskiej we wszystkich porach roku, z tym, że w każdej musiałaby być — dzięki nierwykłej wprost ekspresji autora — bliska. Rzadko kiedy — co jest zresztą typowe dla twórców ludowych — próbował przekazać czytelnikowi bezpośrednio swoje uczucia. Niemal zawsze jego pośrednikiem była natura — łąki, lasy, pola rodzinne.

Poeta wierzył w to, że śmierć nie jest jeszcze kresem istnienia, modlił się więc o to, żeby — ukochawszy nade wszystko ziemię polską — jeśli nawet dane mu będzie znaleźć się w niebie, mógł zastać tam wieczność „obsianą zbożem, z wieslniczą chatą, w kwitnących lipach, wieczność bez wielkich gwiazd, zór i dźwięków, wieczność kwitnącym żytem zakurzona”, w której mógłby „paść niebieskie krowy w rowach gośńców kwitnących mleczem”.

Ludowe przysłowie mówi: Jakże życie, taka śmierć. Wydaje się, że i w tym przypadku znalazło ono swoje pełne potwierdzenie. Żył skromnie, z dala od zgiełku, nawet wtedy, gdy powierzano mu odpowiedzialne funkcje. Chciał być zawsze tylko uczciwym człowiekiem i poetą. Udało mu się to w zupełności.

Przeżył zaledwie 54 lata. Mimo typowego dla autentycznych twórców ludowych wykształcenia w zakresie czterech klas szkoły podstawowej — dzięki samokształceniu zdobył wiedzę, którą mógł zaaplikować każdemu. Doprowadził swój warsztat poetycki do wysokiego kunsztu, toteż trudno byłoby nawet wyciszyć jego nagrody w konkursach, setki wierszy publikowanych chętnie przez pisma centralne i prasę regionalną, nie mówiąc już o dwóch samodzielnymi tomikach: „Zarzębane pieśni” (1947) i „Malwy” (1963) oraz licznych antologach, w których z reguły był bogato reprezentowany. Trudno też pominąć milczeniem jego liczne odznaczenia państwowe, dyplomy i wiele innych dowodów szacunku i uznania, jakimi cieszył się w Polsce Ludowej.

Jak każdy wielki poeta i on przygotowywał się na coraz bliższy dzień, w którym „umilknie w grobie przebity korzeniem brzozy”. Śmierć przyszła do niego 26 czerwca, zaś w dwa dni później w zacisznym kącie cmentarza w Markuszowie, w cieniu rosłozystej topoli spoczęły jego prochy. Zaledwie kilka kroków dzieli go od ukochanych pól, których strzeże „zapatrzony w sakrament natury — w poezję drzew, zbóż i traw”.

TWORCZOŚĆ Marii Dąbrowskiej znalazła oddanego badacza i interpretatora w osobie Ewy Korzeniewskiej. W jej opracowaniu doszły do rąk czytelników dzieła Dąbrowskiej dopiero po śmierci autorki wydane: „Domowe progi” i „Przygody człowieka myślącego”. W wyniku wieloletnich i rozległych prac nad dziełami pisarskimi autorki „Ludzi stamtąd” powstała nowo wydana książka Korzeniewskiej „Maria Dąbrowska”. Pod tytuł dopowiada: „Kronika życia”. Ale jest to określenie mylące, bowiem w nocy wstępnej autorka poczyniła szereg zastrzeżeń, iż ze względu na świeżość wielu spraw została w książce „tylko wydarzenia znane, o których pisarka sama mówiła w swych wspomnieniach, artykułach, wywiadach i rozmowach”. Co więcej, Korzeniewska nie wychodziła poza ten zakres ani w dziedzinie jej przeżyć osobistych, ani w sferze przemysłów i reakcji w sprawach ogólnych, zwłaszcza jeśli chodzi o lata ostatnie. Świadomie ograniczyła się do przedstawienia życia publicznego Dąbrowskiej, porządkowała i uściślała fakty, poszerzała dokumentację. Jest to więc nie tyle kronika życia, co obraz twórczości, jej narastania i przemian. W każdym razie jest to bardzo zobiektywizowany i — rzecz można — oficjalny portret Dąbrowskiej.

Przyjęte przez Korzeniewską ograniczenia na pewno bardzo jej książkę zubożają i sprawiają czytelnikowi niejedną zawadę. Wybrała przy tym autorka drogę pośrednią między pełnym kalendarzem życia i twórczości, a uboższą w pewne całości książką o dziejach człowieka i pisarza. Zachowanie ścisłego rytmu corocznych dat pozwoliło Korzeniewskiej przedstawić szczegółowo bieg życia Dąbrowskiej, ale przez to narracja strzępi się, atomizuje biografie. O skutkach decyzji autorskich mówią także proporcje książki: niektóre lata, zwłaszcza ostatnie, mieszczą się w obrębie zaledwie 2-3 stron.

Prócz powtórzonych już za autorką przeszkód wspomnieć należy o tym, że w rozproszeniu pozostaje korespondencja Dąbrowskiej i trzeba wielu lat na jej scalenie i ogłoszenie, nie ma zebranych wspomnień, które zwykle ujawniają wiele nieznanych szczegółów, niektóre zaś sprawy ukazują w nowym oświetleniu. Ale Korzeniewska rozporządzała źródłem nieocenionym, jaki stanowi prowadzony przez wiele lat dziennik pisarki. Na pewno istnieją przeszkody w nieskrępowanym z niego korzystaniu, ale i to, co Korzeniewska przejęła z dziennika Dąbrowskiej i wcieliła do swojej książki, stanowi jej część najcenniejszą.

Ukazuje on przede wszystkim twórcze zmagania autorki, niepokoje i wątpliwości co do sensu jej pracy pisarskiej. Dąbrowska od zarania swej publicznej działalności podjęła i wcielała model pisarza-społecznika, działacza. Dla którego literatura nie stanowi celu, lecz narzędzie. Toteż wiele lat upłynęło, straciła Dąbrowska niemal czas na rozmaite zajęcia, zanim poddała się swemu właściwemu przeznaczeniu. Policzmy te wygłoszone przez Dąbrowską odczyty, prelekcje, pogadanki, spotkania autorskie. Zestawmy wszystkie popularne broszury i artykuły popularno-naukowe, dodajmy lata przeznaczone na pracę w Ministerstwie Rolnictwa i w różnych organizacjach, a zrozumimy, jak mało już wolnego czasu pozostawało na pracę ściśle twórczą. Stąd po okresach czynnego życia powstawało, ale straconego dla pisania, zdarzały się notowane w dzienniku wyrzuty w rodzaju: *Nie umiem już nawet nic napisać. Nic już z siebie zaczerpnąć nie mogę, a od całego świata, od wszystkiego, co by do mnie z zewnątrz przyjść mogło, tak strasznie się odciążam.*

Marzenie o wyłączności pisania nigdy prawie się nie spełniło. Czy twórczość literacka i tylko ona mogła wypełnić życie Dąbrowskiej? Gdy pióro odmawiało posłuszeństwa, a myśli o wielkich utworach nie znajdowały spełnienia, praca pozaliteracka stanowiła alibi, sprawiała, iż pisarka czuła się ludziami potrzebna. I z tego błędnego koła nie było wyjścia. Rozterki właściwie nie opuszczały Dąbrowskiej nigdy. Już po napisaniu „Domowych progów” pisała w dzienniku: *Po co ja tak ślęczę i tak się dręcę? Może to ułame nie moja droga? A jakież męki przeżywała pisarka w czasie tyloletniej pracy nad „Przygodami człowieka myślącego”? Powieść nigdy nie została ukończona. Dlaczego? Może to dramatyczne słowa pisarki z ostatnich stron dziennika wyjaśniają sprawę: *Myśli coraz mniej, fakty coraz uboższe, jak to niemożliwie utwierdzić, iż wiesznie młoda Maryjka zamienia się w starzyznę grającą w ciuciubabkę ze śmiercią.**

Na tych lamach warto jeszcze wspomnieć o dosyć licznych związkach autorki „Nocy i dni” z Ziemią Lubelską. Tak na przykład Dąbrowska przebywała w Lublinie prawie cały rok 1916, redagując pismo „Polska Ludowa”. Mieszkała wówczas w dawnej działalce lubelskiego „Światła” Marii Stanisławskiej, wygłaszała odczyty w środowiskach spółdzielczych, organizowane przez Wandę Papięską. Przy różnych okazjach odbywała Dąbrowska podróże do Frampola, Zamościa, przebywała jakiś czas w Krzywdzie pod Łukowem i w Dominowie pod Lublinem u siostry. Dodajmy, iż w 1937 r. Maria Dąbrowska wygłaszała w Puławach i Kazimierzu odczyty o Orzeszkowej, zaś w okresie okupacji przebywała krótko w Woli Ossowskińskiej. Wyłowilem te epizody z książki Korzeniewskiej nie po to, by młodych polonistów namawiać na pisanie pracy magisterskiej pt. „związki Marii Dąbrowskiej z Ziemią Lubelską”, ale by ktoś kompetentny, a obdarzony zmysłem ścisłości, postarał się odnaleźć i utrwalił wszelkie dowody, świadczące o mało znanych i rozmatlanych i częstych kontaktach wielkiej pisarki z ziemią Prusa i Czechowicza. Można tylko namawiać do pośpiechu, wiadomo bowiem, jak szybko czas zacierza ślady ludzkich stóp i poczyna.

Tematów do podjęcia jest jeszcze wiele. Książka Korzeniewskiej, jakkolwiek cenna, stanowi jednak raczej makietę biografii. Pozostało dużo miejsc niedookreślonych, niedopowiedzianych. Miejmy też nadzieję, iż z biegiem czasu istniejące ograniczenia będą ustępowały i znikną przeszkody, by sprawy życia i twórczości Dąbrowskiej mogły być przedstawione w całej pełni i bogactwie.

Tadeusz Klak

Ewa Korzeniewska: Maria Dąbrowska. Kronika życia. Warszawa 1971. Czytelnik.

Krzyżówka nr 16

POZIOMO: 1. partia klasy robotniczej zał. 511942 r. (skrót), 2. jezioro na Wybrzeżu Sławińskim, 3. nowela Prusa, 4. inżynier i profesor, członek PAN, laureat nagrody państwowej w 1864 r., 11. miejscowość w pow. lubartowskim, pamiętna z bitwy stoczony 13 V 1944 r. między oddziałami AL a hitlerowską dywizją „Wikings”, 12. taniec ludowy, 14. koleżanka „Zuka”, 16. imię znane aktorowi i piosenkarki, 18. nazwa ojczyzny, 19. rzeka z historii Wojska Polskiego, 20. miasto pow. w Rzeszowskim, 22. ludowy poeta mazurski (1858-1940), 23. współtwórca Konstytucji 3 Maja, 25. zreszta młodzież wiejska (skrót), 28. pseudonim Tadeusza Komorowskiego, komendanta AK w latach 1943-44, 30. urodzisko na skraju Beskidu Niskiego, 32. nad Kaczawa, 34. większy niż Kielce, 36. Juliusz i Wejchle — rodzina malarzy, 38. ośrodek wydobywa węgla brunatnego w Wielkopolsce, 39. pastor, działacz oświatowy na Śląsku Cieszyńskim (1824-91).

PIKOWO: 1. autor zbioru wierszy „Pieśni Janusza”, 2. organizator i pierwszy rektor UMCS, 3. najwybitniejszy przedstawiciel Młodej Polski, 4. polityk i prawnik, marszałek Sejmu od 1925 r. (1882-1928), 5. rodzina wojewodów lubelskich z okresu Rzeczypospolitej szlacheckiej, 7. malarz, profesor ASP w Warszawie (1890-62), 9. potoczna nazwa rządzącego obrotu pilsudczykowskiego w latach 1926-29, 10. legendarny założyciel grodu z Wawelem, 13. rodzaj paleniska skonstruowanego i używanego przez Polaków w czasie okupacji hitlerowskiej, 15. prawy dopływ Wisły, 17. imię żony Stefana Batorego, 21. szczyt w Beskidzie Śląskim, 24. wypływa w Bieszczadach, 25. romantyczno-sentymentalny park zał. 1778 r. przez H. Hagiwiltównę między Nieborowem a Łowiczem, obecnie oddział Muzeum Narodowego w Warszawie, 27. nad Bugiem, 28. zasłużony prezydent Krakowa (1882-1918), 29. Tadeusz Zeliński, 31. inszyńska organizacja w Polsce przedrewolucyjnej (skrót), 33. Marusia z „Cierchej pancernych i psa”, 35. organa porządku i bezpieczeństwa (skrót), 37. August II Mocny.

ROZWIĄZANIE KRZYŻÓWKI NR 14
POZIOMO: 1. Szołochow, 5. Kossak, 8. rajd, 10. „Zwrotnica”, 12. oaza, 13. Zaak, 15. drukarnia, 19. epoka, 20. krzew, 22. równik, 24. Hafiz, 25. ton,

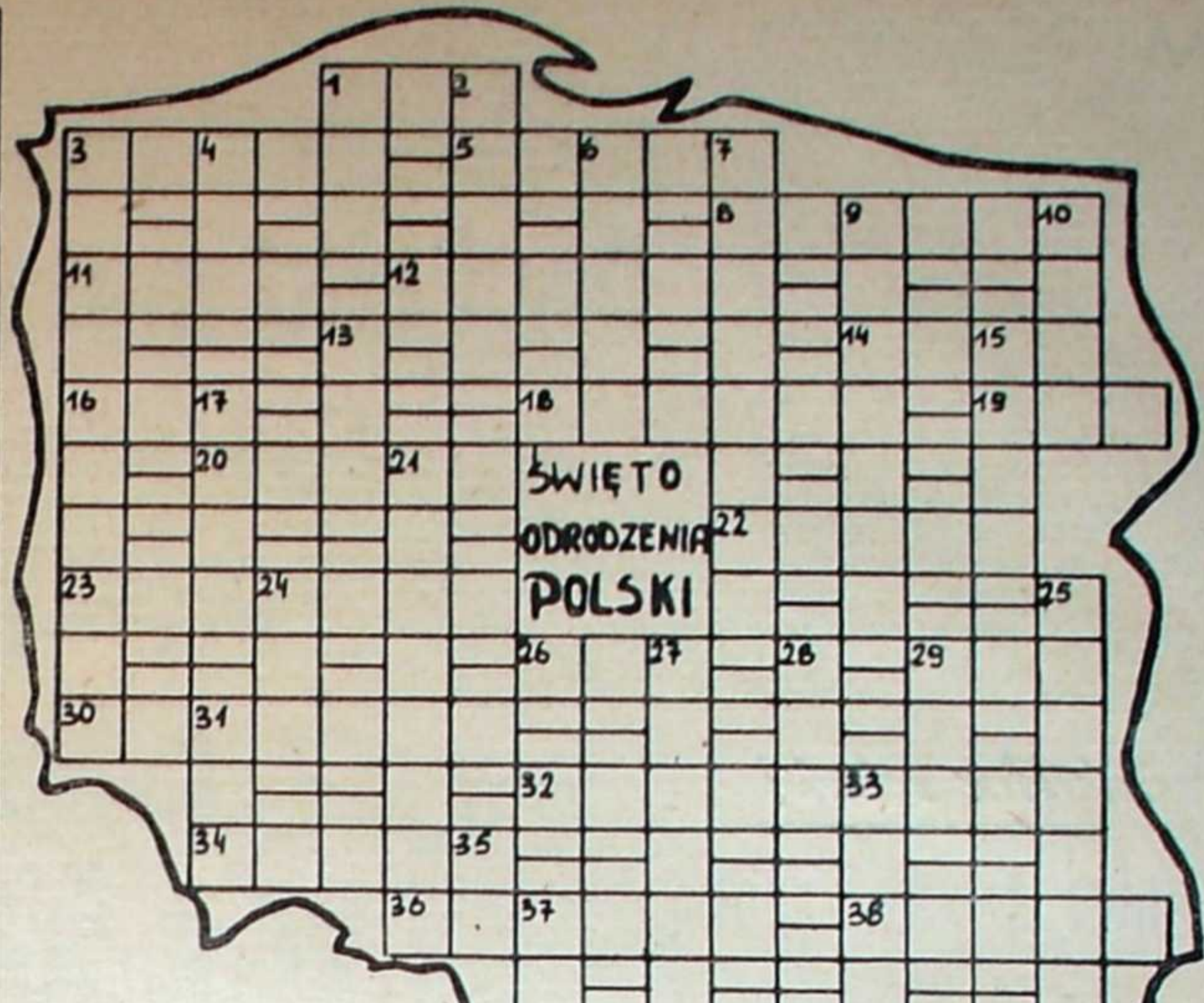
DOKTORATY I HABILITACJE

Dokończenie ze str. 3

Padła zapowiedź podwojenia jeszcze w bieżącym pięcioletnim wydatków na naukę. Idzie obecnie o to, aby potencjał naukowy kraju był w pełni wykorzystany, aby nauka refleksja, będąc podstawą decyzji społecznych i gospodarczych, ułatwiała wybór odpowiednich celów i kierunków rozwoju socjalistycznego społeczeństwa. Nauka w „bioku historycznym” z klasą robotniczą powinna być motorem rewolucji naukowo-technicznej, która dyktuje konieczność przejścia od rozwoju wegetatywnego i ekstensywnego badań do rozwoju intensywnego i dynamicznego. Te i szereg innych ważnych problemów stanowią przedmiot obrad II Kongresu Nauki Polskiej, który powinien w szczególności dać wyraz nie tylko kierkowickiej, ale przede wszystkim prometejskiej roli nauki w naszym społeczeństwie.

Przygotowywane na jesień plenarne posiedzenie Komitetu Centralnego partii będzie poświęcone sprawom młodzieży, w tym także warunkom rozwoju młodej kadry naukowo-dydaktycznej. Jest to więc najlepsza sposobność do wszechstronnego przedyskutowania wszystkich zagadnień związanych z wykorzystaniem kwalifikacji i zdolności młodej kadry naukowej i sformułowania konstruktywnych rozwiązań systemowych, zmierzających do stworzenia optymalnych warunków przyspieszających ten rozwój.

Romuald Polński



26. Fos, 27. obrok, 28. „Tygrys”, 30. „Piaki”, 32. Tacyt, 34. Leopolda, 38. Malik, 40. osły, 42. Intrygant, 43. Oman, 44. Norwid, 45. Niemirycz.
PIKOWO: 1. Sartre, 2. Lada, 3. Cesarz, 4. wrota, 5. Konin, 6. stan, 7. Krakowiak, 9. Jonostera, 11. czar, 12. zdarzenie, 16. KRN, 17. rektor, 18. Ikonostas, 21. Zakroczym, 23. występ, 24. Hauptmann, 25. gill, 31. kiln, 33. trenecz, 35. ogród, 36. organ, 37. totem, 39. litr, 41. loitr.

Za prawidłowe rozwiązanie krzyżówki nr 14 nagrody uzyskali: Jadwiga Czyż — Łódź 7, ul. Tuszyńska 37; Ryszard Pachol — Lublin 2, skrytka poczt. 621; Ina Polańska — Będzin, ul. Kruczkowskiego 26; Wojciech Zawisza — Busko-Zdrój Sanatorium „Górka”.

Beben

Dokończenie ze str. 7

dziło całkowitą bezzasadność zarzutu.

Stara Rokoszyna, matka jednego z napastników, zniszczona pracą kobiety, poprawia zsuwającą się z sliwych włosów chustkę i powiada:

— Ten Siejko, Tadek znaczy się, rozum nie miał czy co? Beben brał na plecy i szedł do świetlicy. Chłopaki, mój i jego koledzy, spokojnie, nigdy nie robili nic złego. Po-deszli do niego, śmieł się, leciutko bili w beben. A on zaraz do kopania. Zaczął on a nie oni...

— Pan wie — ciągnie po przerwie — że Edek Dzikowski miał spuchnięty cały krok? Od tego kopnięcia. Nie mógł chodzić do roboty. Lekarz dał mu zwolnienie na sześć dni i kazał maścią smarować. Cementownia dała mu chorobowe, znaczy się Siejko musiał go dobrze urządzić...

Rokoszyna zamyśla się, znowu poprawia chustkę i już nie pytana ciągnie dalej:

— Co ja teraz zrobię? Sama jestem wdowa, Kazik niedawno z wojska wrócił, pomagał mi w gospodarstwie i jeszcze do roboty w Chelmie jeździł. Zarabiał ładnie, po dwa tysiące i więcej. Za jego pieniądze kupiłam kartofli do sadzenia i dwa prosiaki, bo pan wie, teraz się to dobrze oplaca. Miał się żenić po żniwach, ale czy teraz Zośka będzie chciała na niego czekać cztery lata? Tyle mu dał, tak po prawdzie to za nic. Ze uderzył dwa czy trzy razy? Siejko sobie teraz chodzi jakby nigdy nie, jeszcze dostał osiem tysięcy za cierpienie. Jakże tam cierpienie? Udawanie, ot co. Zwykle pobicie między chłopakami, a zaraz tyle zmartwień i nieszczęścia...

Podobnie reagują rodziny pozostałych uczestników bójki, która przecież mogła zakończyć się jeszcze większą tragedią. Rybakowie, Chlewicy, Mańko — solidarnie upatrują przyczynę w tym, że Siejko niepotrzebnie „drażnił” chłopaków. Gdyby nie reagował na ich „żarty”, których nie nazywają nawet zaczepkami, to chłopcy sami przerwaliby zabawę, bo „nudziłoby im się walić w beben”.

A Rogoza dodaje:

— Ja teraz nie będę nawet rozmawiał ze starym Siejko, bo przez niego teraz mój chłopak gnije w więzieniu.

Mańko zaś dodawał:

— Co to za ludzie zawzięci! Czy ja bym za świadectwami lekarskimi latał, gdyby mi chłopaka trochę pobili? A oni zaraz sąd... Pamiętam, przed wojną mojego brata na zabawie w Rudzie trochę nożami porzneli. I co? Nie było żadnego sądu. Mój ojciec wziął jalożkę na zgodę i dobrze było. A Siej-kowie nie chcieli nawet gadać...

Marjan Rybak, którego syn należał także do owej szóstki, tylko splunął pod nogi i oświadczył:

— O Siejkach nie będę mówił, naród z nich złośliwy. Ale tu swoją winę ma i Dębicki. Jak otworzył drzwi i zobaczył troszeczkę pobitego bebniste, mógł mu pomóc, obmyć krew i zaprowadzić do domu. A on zaraz do kierownika szkoły, ten po pogotowie. Potem zjawia się milicja, wzywa prokuratora. Nic by z tego nie było, gdyby wszystko załatwiono po cichu. Daliby parę groszy staremu Siej-ce, musiłby się zgodzić.

Tylko Chlewicki nie przypisywał nikomu winy. Gdyby tak młody Siejko zmarł, to co wtedy?

Edmund Skarżyński

»KAMENA«

Pismo lubelskiego oddziału Związku Literatów Polskich. Założyciele: KAZIMIERZ ANDRZEJ JAWORSKI i ZENON WASNIEWSKI. Redaguje zespół: JERZY DOSTATNI (sekretarz redakcji), MAREK ADAM JAWORSKI (redaktor naczelny), TADEUSZ KLAK, ZYGMUNT MANKOWSKI, ZYGMUNT MIKULSKI — członkowie Kolegium Redakcyjnego, oraz: MIROSŁAW DERECKI, BENEUSZ J. KAMINSKI, MACIEJ PODGÓRSKI i ROMUALD WISNIEWSKI. Redakcja techniczna i korekta — ALICJA KROLIKOWSKA. Informacji w sprawie prenumeraty udziela placówka pocztowa i „Ruch”. Redakcja nie zwraca materiałów nie zamówionych i zastrzega sobie skróty.

Wydawca: Lubelskie Wydawnictwo Prasowe RSW PRASA, Lublin, Al. Jeże Raławskie 1. Druk: Lubelskie Zakłady Graficzne Im. PKWN, ul. Unieka 4.

Numer łamal KONSTANTY KEPA
 Adres redakcji:
 Lublin, ul. Narutowicza 35
 Telefony: sekretariat i naczelny redaktor 255-93, sekretarz redakcji i dział publicystyki 275-35

Korespondencje zwykłą prosimy kierować pod adresem: Lublin 1, skrytka pocztowa 131; polecona i ekspresowa — pod adresem redakcji.

LZGrał. Zam. 1833, 14.07.1971, 7.808. A-7.

Kamena str. 9

POSTE RESTANTE

Nazwa naszej rubryki Poste Restante ma znaczenie dosłowne: poczta zostająca, czyli te nadesłane do redakcji utwory, których — z prawdziwym żalem — nie mogliśmy zamieścić w numerze, ale które — z prawdziwą satysfakcją — wybraliśmy do publikacji w tej rubryce. Przypominamy, że w Poste Restante nie placimy honorarium.

Konkurencyjna rubryka pt. „Odpowiedzi redakcji” nieustannie biadoli nad brakiem miejsca w „Kamieniu” dla fraszek czy innego rodzaju twórczości humorystycznej wierszowanej. Może w „Kamieniu” miejsca nie ma, ale nie dotyczy to naszego niezależnego organu, który — wręcz odwrotnie — szeroko otwiera podwoje dla tego rodzaju literatury. Oto Pan A. L. z powiatu białogórskiego przesyła nam aktualne humoraki, na stanokosowych motywach oparte, ale nie tylko:

Lęka skoszona, rozbite pokosy,
 Wzrok ostepa lękiego w słońcu kowy.
 Czas na postłek i odpocząć trzeba.
 — Wyciąg lam, stara, coś, chleb i do chleba.
 I już po chwili jedna, druga seta.
 Płaszka z ręk do ręk krząta jak szafeta.

Wszystkich otuwoła, wszystkim
 bliższą ślipe.
 Ktoś huknie śmiechem, ktoś kogoś
 uszczypie.
 Pod kopą siana legła sobie mama,
 Ma odślonię wysoko kolana.
 Jak urzeczony patrzy tato
 Na Chelmońskiego „Babile lato”.

To była refleksja stanokosowa operująca wyłącznie sielskimi motywami. Ale przecie w tym okresie na wsi pojawia się mieszczuch-urlopowicz. I oto inwokacja doń:

Powiedz, czy będę na woi na urlopie,
 Spaleś ty kiedyś w takiej siana kopie,
 Kiedy się iskrzy miliard gwiazd na niebie,
 A ty masz tylko jedną kolo siebie?
 Ale ta jedna i ten zapach siana
 Działa namiętniej niż marihuana.
 Jeżeli spaleś, to stwierdzam dobitnie:
 Wiesz, że i w kopie czasem sianko kwitnie.

Zednamy się w pośpiechu z naszymi czytelnikami, spiesząc na pozamiatane urlop pośród gwiazd i kop siana.

**Prenumerata
 zapewnia stały
 odbiór „Kamenu”**

M IARA we wszechmoc propagandy jest u nas, jak się wydaje, bardzo zakorzeniona. Władze powiatu lubartowskiego ustawiły przy oświetlonych szosach na swym terenie tablice informujące o osiągnięciach powiatu. Z jednej możemy więc dowiedzieć się ile hoduje się tam win, z innej — jakie plony z hektara dają poszczególne ziemniaki, jeszcze inne mówią o przemysle, kulturze, opiece zdrowotnej itd.

Jaki był cel tego wszystkiego — nie wiadomo. Jeśli chodziło o poinformowanie władz wojewódzkich czy też centralnych — to zapewne potrzebne im dane uzyskują ze sprawozdań statystycznych. Zwyczaj obywateli przejeżdżających tamtejsze nie też z tego nie wynika. Raz — że nie zawsze aż takie szczegóły ich obchodzi, a gdyby nawet — to i tak tego przeczytanego w przebiegu nie zapamiętają. Dwa — że dalsze samochody jedzą zbyt szybko, by móc odczytać cokolwiek innego z okien, niż znaki drogowe i napisy informacyjne, zaś przyhamowywać nikt specjalnie nie będzie. Trzy — że nawet ewentualne przywołanie sobie tych wiadomości niewiele da.

„Co roku buduje się w powiecie 22 km dróg” — głosi jedna z tablic. No to co? Musiałbyśmy dobrze znać specyfikę powiatu, lub może tu mieszkać, żeby wiedzieć, czy to samochwalstwo, czy samokrytyka. Jeśli chodzi o samych mieszkańców, to zapewne doskonale orientują się w sytuacji. Ścisłej rzeczą biorąc, być może nie wiedzą, ile osób kształci się w szkołach średnich, ale wiedzą, czy dzieci, po ukończeniu podstawowych, bez trudu dostaną się do średnich, czy też będą przy tym kłopoty. I nie jest dla nich najważniejsze, ilu lekarzy pracuje w powiecie, ale to, czy w wypadku choroby otrzymają pomoc lekarską bez kolejk, czy też będą występować godzinami.

Jedynie zatem uczucie, jakie wzbudza u nas te tablice (są one solidne, wykonane z metalo-

wych rurek i stateczek powleczonych farbą przeciwdziałającą, to ciekawość: kto polecił je wykonać, ile kosztowały, z jakich funduszy to pokryte, czy nie można było za te pieniądze wykonać czegoś sensownego?

Jeśli zaczepiam lubartowian, to tylko dlatego, że ich tablice są świetne daty, postawione w okresie panującego w kraju klimatu trzeźwości politycznej. Do niedawna bowiem podobnym werbalizmem atakowani byliśmy na każdym kroku. Podobnie śmie-

W Lublinie ulica wiedząca w kierunku Lubartowa nosi miano Alei Spółdzielczości Pracy. Nawierchnię jej budowano częściowo rękami pracowników spółdzielni, był to ich czyn społeczny. Co z tego? Mój stosunek do spółdzielczości w ogóle jest pozytywny, ale do poszczególnych lubelskich spółdzielni pracy różny, w zależności od tego, jak jestem obsługiwany w ich placówkach. Skromniej ze strony spółdzielców byłoby zrezygnować z tego miana, a narwać ulicę imieniem ja-

którego znam i lubię od lat (znany zresztą ze swych publikacji krytycznych „Kamery”). Zaproponował, by planowane osiedle mieszkaniowe na Czechowie nazwać imieniem wielkiego astronoma. Każdeż kanonik Kopernik obserwując obrotu miał niebieskich inne miał zapewne cele, niż zostanie patronem nowego osiedla. Chciał wiedzieć, czy przebieg przez siebie przekazał innym. Może więc lepiej byłoby uczcić to rocznicę założenia w Lublinie naszego obserwatorium astronomicznego? Nieopowiadając się na to, budowałem osiedle. W tym lat po mistrzu Mikołaju wykrył śmiertelną tę chorobę nie od czasu do czasu popatrzyłby przez lunetę na odległe planety. Dla obserwatorów mógłby to być nawet dobry interes. A kto organizatorem? Może Towarzystwo Wiedzy Powszechnej, może jakieś stowarzyszenie naukowe, może Towarzystwo Miłośników Lublina, dotychczas nie mogące sobie znaleźć celu działalności, niechby nawet „Estrada”. Była by luneta i fachowy przewodnik po przestworzach.

Już widać nawet odpowiednio lokum: Bramę Trynitarską, dotychczas stojącą bezużytecznie. Biegnie wokół niej galeria, na której można by ustawić przyrządy obserwacyjne. Wprawdzie budynek jest w posiadaniu parafii katolickiej, lecz sądzę, że w świetle postronkowych zmian tak koegzystacja jest chyba możliwa. Zresztą dla osób usposobionych metafizycznie obserwacja nieba z tego miejsca miałaby swój dodatkowy sens. A ktoś z nas nie jest trochę metafizykiem — zdając zresztą i licznie rozsiadanych po kraju tablic z napisami na każdej okoliczności i sytuacji?

Romuald Wiśniewski

Dwa tyki metafizyki

Okolice sztuki

„Nowa sztuka” jest

AMBICJE artystów rosną coraz bardziej. Spora grupa nie chce malować, rzeźbić czy rysować, za wstępem niemal odwraca się od materialnego tworzywa, które służyło do niedawna do wyrażania autorskiej idei harmonii, poczucia moralnego, wrzeliwości kolorystycznej i przestrzennej, do samookreślenia się wobec generalnych problemów humanistycznych. Konceptualizm wystarcza kartka papieru do zanotowania schematu ideowego dzieła, które nigdy nie doczeka się realizacji, bo o takową nie chodzi. Na fotokopii mapy Polski wykreśla się na przykład prostą linię, łączącą Warszawę z Zieloną Górą, i jest to jedyny ślad materialny kierunku artystycznej wyobraźni, na który odbiorca (7) może nawiać dowolną liczbę dowolnych znaczeń. Odmienne skąpa przedświadczenia artystyczne sprowadzają się do plakatowych druków ze znakiem matematycznej nieskończoności, lub do rysunkowego przecięcia poczwierzęcego Giewontu na dwie części.

Ambicje pewnych artystów rosną tak dalece, że anektują oni i wykorzystują jako teren działania setki hektarów lasów, pustyni, łańcuchów górskich; albo na drodze bezpośredniej interwencji w naturalne środowisko, czego pospólnym już przykładem opakowanie skał nadmorskich w australijskiej zatoce Little Bay w

folię plastikową, albo przez „przywłaszczenie” przy pomocy owej wyobraźni.

Te i im podobne zjawiska wzbudzają sprzeczne opinie nie tylko wśród tzw. publiczności, ale również wewnątrz środowisk artystycznych, jak nigdy dotąd zróżnicowanych, ideowo poszukiwanych, a często i zagubionych w świecie lawinowych zmian, którymi rządzi nas cywilizacja. Jedni dostrzegają w nich zamknięty serwilizm i pragnienie spożywania owoców, które ofiaruje establishment, inni traktują sztukę dzisiejszą jako dom wariatów, obrońcy i teoretycy nowej sztuki wskazują natomiast na ostateczne rzekomo wyzwolenie artysty z wszelkich konwencji, na niejako idealną „pozamaterialną strukturę dzieła”, które opuściło dzieło swej naturze brudne rejony komercyjnych zależności i kompromisów; sztuki konceptualnej, na przykład, nie wystawia się w galeriach, ani, nią nie handluje.

Obie strony mają sporo racji na uzasadnienie swoich orientacji, więc na ogół dyskusja między nimi prowadzi tylko do uszytowania stanowisk. Tymczasem „nowa sztuka” jest. Można ją posadzić o kabotyzm, ekshibicjonizm, gupotę, można widzieć w niej sztukę jedyną i fascynującą — ani jej to nie zaszkodzi, ani nie pomoże, bo wspomniane tendencje mają charakter obiektywnych zjawisk kulturowych, skupiających w sobie dobre i złe treści współczesnej rzeczywistości społecznej i ogólnocivilizacyjnej. Fakty kulturowe, a więc i artystyczne, nie są po myśli, wydaje je określony zespół warunków społecznych, politycznych, ekonomicznych, naukowych, technicznych, kształtujących świadomość człowieka-twórcy, żyjącego w konkretnym czasie historycznym.

Sztuka „konceptualna”, „efemeryczna” czy „nieobecna”, tylko na przestrzeni czasu sprawdzi swoją społeczną przydatność. Jeśli jednak, załóżmy, okaza się niedość do znalezienia aktywnego miejsca w zbiorowej świadomości i po krótkotrwałej ekspansji zniknie z życia artystycznego, to wcale nie będzie oznaczać, że była czymś przypadkowym i zbędnym.

Poza tym, jak zauważył V. Gordon Childe, „w tych dziedzinach, które są wspólną domeną archeologii i historii pisanej, żaden upadek nie slega poniżej poprzedniego, a każdy wlot przekracza szczyty swego poprzednika”.

Warto wiedzieć, że rzecznicy „nowej sztuki” w Polsce podejmują ostatnio pewne działania zmierzające do uczestnictwa artystów w rozwiązywaniu istotnych problemów cywilizacyjnych. W lipcu w Opolinie Zdroju na Dolnym Śląsku odbywał się plener „Ziemia Zgorzelecka 71”, zlokalizowany w terenie szczególnie interesującym ze względu na charakter krajoznawczy, specyfice geologicznej i przyrodniczej oraz obecność kopalni odkrywkowych węgla brunatnego i wielkich zakładów energetycznych. Temu spotkaniu artystów, naukowców i teoretyków sztuki towarzyszyło hasło: „Nauka i sztuka w procesie ochrony naturalnego środowiska człowieka”.

W założeniach teoretyczno-programowych, sformułowanych przez Jana Chwałczyka, Antoniego Dzieduszyckiego i Jerzego Ludwińskiego, czytamy m. in.: „Jest oczywistą koniecznością spotkanie się twórców z różnych dziedzin — ludzi tworzących cywilizację. Tym razem artyści szukają sprzymierzeńców u ludzi techniki i nauki — nie, jak dawniej, tylko dla włączenia się w nurt cywilizacji technicznej, lecz także po to, by wystąpić przeciwko niej. Jest to sytuacja tylko pozornie paradoksalna, gdyż w łonie nauki i techniki występują coraz częściej zjawiska sprzeciwiające się ujemnym skutkom cywilizacji. Takie sprzymierzenie sił byłoby pierwszym przypadkiem w świecie”.

Czekając na rezultaty owego sprzymierzenia, a więc w chwili bezczynności, chciałbym oświadczyć, że nawet zbiorowe potępienie Otto Muehla za jego wypróbowanie „gestu” na nagą dziewczynę w budynku wyższej szkoły artystycznej, nie jest w stanie odwrócić mojej uwagi od „nowej sztuki”.

RESTAURI

Rys. L. Szalecki

FELIETON Z REZERWY

Polityka kadrowa

ROWNOCZESNA dymisja trzech dyrektorów w ramach jednego zjednoczenia, nie zdarza się nabyt często. Zwłaszcza w naszym województwie, gdzie tzw. wyższe kadry są mocno zasiedlone, co jednak w opinii publicznej nie łączy się, niestety, z oceną, że kadry te w całości wyróżniają się wysokimi kwalifikacjami zawodowymi i moralnymi. Trzeba jeszcze dodać, że równocześnie zdjęto dyrektora Instytutu, bardzo blisko współpracującą, a przynajmniej mającą współpracować z różnymi ogniwami tego zjednoczenia. Nie tak dawno zdjęto jednego dyrektora wytwórni, dostarczającej swoje wyrobki owemu zjednoczeniu — i to dopiero po interwencji aż na forum Konferencji Wojewódzkiej Partii. I jeszcze — kilka miesięcy temu zastępcą jednego ze zdjętych obecnie dyrektorów, dyrektorów najgorszego od lat przed-

siebiorstwa w tym zjednoczeniu, zdołał przetrwać do Innej jednostki, otrzymując zresztą znacznie lepsze warunki niż poprzednio, chociaż pozostał w tym samym resorcie.

W sumie chodzi o budownictwo, materiały budowlane i inwestycje. Prasa codzienna podała nazwiska i nazwy przedsiębiorstw. Nie chodzi więc o powtarzanie pretensji pod konkretnym adresem kilku osób. Trzeba jednak postawić generalne pytanie: co się dzieje w ogóle w naszym budownictwie?

Pamiętam pierwszy wojewódzki sejmik budowlanych w roku boja 1955. Nie było jeszcze wtedy tyle sprzętu zmechanizowanego co teraz, nie było wielkich bloków i płyt. Śmiałem twierdzić, że właśnie w tych bardziej prymitywnych warunkach kierowanie budownictwem było trudniejsze niż obecnie. Opracowano wtedy całkiem niezły program działania na przyszłość.

Nie chodzi mi o wielkość ustalonych wtedy limitów inwestycyjnych czy przeznaczonych do oddania lub mieszkalnych, te rzeczy musiałby się zmieniać. Ale — już wtedy na czoło wysuwno sprawy organizacji pracy, następnie jakości i terminowości wykonawstwa. Od czasu tego sejmiku podobnych, a raczej jeszcze słuszniejszych i jeszcze mądrzejszych programów przeczytałem przynajmniej dziesięć. Za każdym razem obcywano, że już teraz, od tej chwili, wszystko będzie znakomicie. Albo — prawie znakomicie. A nie było i nie jest.

Na półrocze jeszcze jakoś bywało. Wiadomo, że całkowicie obiektywna ocena postępu prac w budownictwie, wyrażona w zlotówkach, nie jest możliwa. Stąd

podtrzymujące statystyki półroczne linki niezłym kłosa nacągane były w różne strony. Na koniec roku, gdy jednak trzeba było oddać określone obiekty do użytku, inne nakryte dachem lub przytężyć do czynnego kotłowni, wszystkie szłyda bezceremonialnie wychodziły na wierzch.

O tym, że tegoroczny plan naszego budownictwa, szczególnie ważny ze względów społecznych i gospodarczych, jest w gruncie rzeczy nierealny — wjaśnienie nie wiedzieli nie od dzisiaj. Nie dlatego, że plan sam w sobie był nierealny, ale dlatego, że w wyniku stosowanych od lat praktyk takim go zrobiono. W grudniu bowiem przekazano użytkownikom wcale niemającą liczbę mieszkań tylko na papierze. Podobnie było z kilkoma obiektami innego rodzaju. Teraz, na półrocze, też. W rezultacie na wielu placach budowy niemal cały pierwszy kwartał trzeba było poświęcić na faktyczne wykończenie formalnie oddanych obiektów. Nie dziwno, że w warunkach takiej szturmowiczyny już nie najlepsza jakość ulegała systematycznemu pogorszeniu, że jedni marnowali to, co wtańcili zrobili inni.

Taka irytująca społeczność i kosztowna zabawa z nasaganiem planów rocznych trwa już od lat i aż dziś wierzę, że dotychczas jakoś to tolerowano. Stale słyszmy przez pierwsze półrocze, że plany są trudne i mobilizujące, ale realne. W trzecim kwartale pojawiają się wątpliwości, w czwartym szturm i tzw. korekty planu, oznaczającego jego zmniejszenie, w pierwszym kwartale następnego roku sytuacja opisana wyżej. Przerodziło się to w obowiązujący rytuał,

NOTY i notki

JUŻ WIDZĘ TŁUMY turystów, szturmujących drzwi do krakowskiego teatru „Stu”. Tygodnik „Id” (nr 29-30) zamieścił fotografie sceny z programu „Spadanie” — widać jak kilka studentek, ubranych tylko w spódniczki mini, prezentuje w całej krasie górne części swojej anatomii (nawet Malcharek wysada). W takich warunkach podróz do Paryża, Londynu czy Hamburga celem obejrzenia strip-teasu staje się niepotrzebna, kraj zaszczerdał dewiry. Taktownie „Id” nie podaje o spektaklu żadnych szczegółów, natomiast obok Krzysztof Mroziński prezentuje artykuł pod nieco ekstrawaganckim tytułem „Kultura wycynowa”, co chyba jest jedyną aluzją do owej fotografii. Autor pisze najpierw, że Cybulski, Rozhin i Inni „pracując w zawodowych teatrach (...) nie mogli zrealizować swoich ambicji teatralnych (...) i dlatego skorzystali z pierwszej nadarzącej się okazji, żeby takie przedstawiła zacząć realizować poza granicami Instytutu profesjonalnych”. Jak wiemy, było akurat odwrotnie, zacytowali od studentek teatrów amatorskich. Potem Mroziński pisze: „Na całym świecie studenci śledzą nad książkami, nie innego ich nie interesuje. W Polsce studenci zajmują się wszystkim”. Też nieprawda, przynajmniej w pierwszej części.

ŚWIATOWA ATRAKCJA w okresie ogólnym jest od lat kilkudziesięciu szkołki potwór. Felietoniści polscy — naród zażadny — od kilkunastu lat na sezon ogórkowy też mają „atrakcyjny” temat: drukować „Tredowata” czy nie drukować. Tym razem gorąca filipiłka na cześć rzekomego arcydzieła Mniszkówny napisał sam Aleksander Malachowski w nr 29 „Kultury”. Pominawszy fakt, że połowę obecnego felietonu autor poświęcił na przypomnienie własnego felietonu napisanego cztery lata temu na ten sam temat, Malachowski dochozi do takich autorytatywnych stwierdzeń o „Tredowata”: „Mniszkówna jest po prostu wielkim Nikiforem literatury polskiej”. „Myślę, że ludowa ballada zwana „Tredowata” wejdzie wreszcie do Panteonu naszej literatury”. „W rezultacie granica między Zeromskim, Nałkowską, Zukrowskim, Brylem i Putramentem, a Mniszkówną jest bardzo cienka i trudna do wyznaczenia”. Ciekaw miale tylko co na to wszystko Putrament — autor i Putrament — sekretarz generalny ZLP?

ALISIA W CHWILI, gdy nr 29 „Kultury” drukował się, „Kurier Polski” zapowiedział, że przystępuje do drukowania w oddzielnych numerach „Tredowatej”. Następnego dnia, już bez zapowiedzi, „Express Wieczorny” rozpoczął drukowanie tejże „Tredowatej”, ubiegając konkurenta o długość jednego odcinka, co następnego dnia „Kurier Polski” z kwasią miną pokwitował jako dobry kawal. Ponieważ „Tredowata” była już prezentowana w telewizji, radio i na scenie teatralnej (Kalisz), wypadła tylko czekać na film, operę i musical. A „Kultura” na polecenie może znacznie drukować „Ordynata Michorowskiego” lub „Dzikuski” Zarzykciej, ostatecznie coś z Marcyńskiego czy Urke Nachalnika. Po reportażach Kąkoliewskiego wszystko możliwe.

Odpowiedzi redakcji

Nie wymieniając licznych autorów z nazwiskami, zdecydowaliśmy się na odpowiedź zbiorową, ponieważ chodzi o zjawisko dosyć powszechne. Otóż zawsze popieraliśmy ruch KKMP, drukując — jak wiadomo — teksty wielu członków Klubu, nie tylko z Lubelszczyzny. Nie zamierzamy rezygnować z tej postawy. Wszelako nie wydajmy nam się w dobrym guście, ani tym bardziej uzasadnione, częste żądania (tak — żądania) publikacji tylko dlatego, iż autorzy uczestniczą w ruchu KKMP, nieraz zażalenie jako synonimy czy kandydaci na członków. Wyjątkowe znaczenie ma dla nas jakość utworów, a nie przynależność lub sympatia organizacyjna twórców. KKMP — o ile nam wiadomo — ma za zadanie wykształcić przede wszystkim działacza kulturalnego na wysokim poziomie, rzekomyście laury poetyckie zdobywa w tym ruchu niewielki odsetek ludzi. O tym pamiętamy i o tym powinni pamiętać zainteresowani autorzy, przynajmniej w przyszłości.

S. S. w Lublinie. Wiele Szanowna Pani! W nadesłanych tekstach jest dużo — prostym wybaczyć przymiotnik — staroświeckiego oroku, jedyny zaś o widzenie świata, sposób przeżywania, refleksje nad losem ludzkim. Ma to wszystko posmak nieco sentymentalny i — znów prostym wybaczyć — naiwny nieco. I już z tego powodu wierzę że są dla nas nie do przyjęcia. Ponadto przeważnie „rozpadają się” one na prozę rymowaną i poszukiwaną wersemami. Za mało kondensacji słów, za mało metafizyki, za wiele natomiast bezpośredniej sentymentalności. W sumie więc — nie skorzystamy. Łączymy serdeczne pozdrowienia i ukłony. PS. Niezależnie od naszej oceny tekstu mogą mieć i chyba mają, dla Pani wielką wartość — jako rodzaj dziarskiego intymnego o charakterze kompensacyjnym.

L. P.-W. w Zawierciu. Jak już wielokrotnie pisałyśmy w tym miejscu fraszki u nas towar mało chodzący z natury rzeczy (brak „kajdaka” dla tego gatunku). Ponadto Pańskie fraszki (i „humoryzmy”) wydają nam się po prostu za mało dowcipne, a niektóre ich sensy zbyt trywialne. Może inne redakcje będą dla Pana lażawsze, tym więcej, że poczucie humoru rzecz wzięta, może akurat tylko my jesteśmy głusi na dowcip Pański.

K. J. Z. w Warszawie. Wierszyki naiwne są po prostu, co na konto młodzieńczego wieku skłonił jesteśmy złożyć. Pewna niebanalna wrzeliwość jednak odnajdujemy. Teraz trzeba by się dowiedzieć, co się we współczesnej poezji dzieje, poczytać więcej. Rozumiemy — trudna sprawa, bo to i studia i dziewczyna. „A ta ostatnia kradnie czas bez li-tości”. Innej jednak rady nie ma, jak bardziej serio popracować nad własną edukacją poetycką. Niech tych słów kilka nie skłoni Pana do zasypania nas kolejną partią wierszy — na zasadzie: a może akurat te? Radzibyśmy coś usłyszeć o Panu za rok czy dwa, powiedzmy. Nie potrzebujemy chyba dodawać, że literatura jest zajęciem nadzwyczaj serio, nie zaś relaksem między wykładem a randką.

J. M. w Dugiem. Jeśli cały ten list i załączone teksty nie są jakimiś nieważnym a makabrycznym zgola dowcipem naszych lubelskich humorystów, to — proszę nam wierzcie — serdecznie współczujemy Panu w jego niewesołej sytuacji życiowej. I doprawdy nie nie jesteśmy w stanie uczynić więcej. Najpierwotniejszą i najważniejszą oceną tekstu jest jego wartość literacka, nie zaś sytuacja życiowa autora, która jeśli nawet można brać pod uwagę, to dopiero w dalszej kolejności. Nadesłane wiersze, niestety, wartości literackich nie posiadają, wobec czego opublikować ich nie możemy.

J. J. w Bytomiu. No więc wszystko pięknie, wiersze do druku kwalifikujemy, za „pozdrawiam” wiele i szacunku wyrazi niewyrachowane oraz o piśmie naszym szczerze myślenie wielkie” serdecznie dziękujemy, gniewając się tylko na Pana za kopie maszynopisowe, które będziemy musieli przepisać, bo drukarnia nie przyjmuje. Pozostali jeden problem — kiedy będziemy w stanie opublikować Pańskie utwory? Otóż doprawdy trudno jest powiedzieć, mimo iż Pan „Z miliona poetów twarz swą zindywidualizował nieco”. Pozdrowienia zasyłamy.

A. S. w Warszawie, J. S. w Warszawie — nie skorzystamy.

W. G. w Ostrowie. Sprawa raczej beznadziejna. Po raz drugi musimy Pana rozczarować — te same błędy co poprzednio. Dopóki będzie Pan eksplloatował ten temat i w dodatku w taki sposób — zdania nie zmienimy.

Wszystkim korespondentom należy przypomnieć, że na nie idądzą się prosby o zwrot rękopisów i maszynopisów, których nie zamawiamy i których nie wykorzystujemy.

SPORT — TEN PRAWDZIWIWY — ma to do siebie, że w każdej konkurencji każdy zawodnik powinien dążyć do zajęcia pierwszego miejsca. Kto nie ma takiej ambicji, nie jest prawdziwym sportowcem, a tylko lepszym lub gorszym wyrobkiem. Wiele z niepokojem przeczytałem w „Standardzie Młodych” (nr 18) wypowiedź kapitana młodych koszykarzy lubelskich, przygotowujących się w Warszawie do finału II Ogólnopolskiej Spartakiady Młodości: „Chemy wywalczyć na sportakładzie srebrny medal”. Dlaczego nie złoty, jeżeli potencjalny mistrz już raz został pokonany przez potencjalnego wicemistrza?

NIEZMORDOWANY W SENSACJIACH „Express Wieczorny” ogłosił (nr 167), że Polska podejmuje eksport żywych mrońców do Bułgarii. Artykuł eksportowy rzeczywiście nierzwykły. Ale zaraz następnego dnia okazało się, że na ten temat nie wieleż ani Ministerstwo Leśnictwa i Przemysłu Drzewnego, ani Ministerstwo Rolnictwa, ani Zjednoczenie „Las”, ani Centrala Handlu Zagranicę „Polecon”, ani radca handlowy Ambasady Bułgarii — co zresztą lojalnie „Express” wydrukował. Kłopot na natomiast Główny Urząd Celny, jako że rodacy zaczęli na własną rękę eksportować mrońców, a tu brak stawki celnej.

MILE POLECHAŁO moja narodową i lokalną ambię jedno zdanie z polemiki, toczonyj o polskim przemysle lotniczym w „Perspektywach” (nr 25). Otóż J. Babiejczuk i B. Dostajni pisa tam m. in.: „Podobnie rzecz ma się ze śmigłowcami, w których produkcji (Boelovoj) zajmujemy 3 miejsce na świecie”. Przeciwnie śmigłowce robi się tylko w naszym Świdniku. Ale równocześnie dzieje się, dlaczego my, mieszkańcy Lubelszczyzny, o niektórych naszych, lubelskich sprawach, dowiadujemy się niezas dopiero z prasy centralnej. Tak było np. z nadszczeniem lasów przez puławskie Asoty, pewnym procesie o nadużyciu w Karpolcu, o rozdzielaniu mallebetów asystenckich w nowym bloku UMCS, autokratyzmie pewnego dyrektora, nawozach sztucznych i zakazie sprzedaży chleba, różnych dymisjach itd. itd.